

# CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

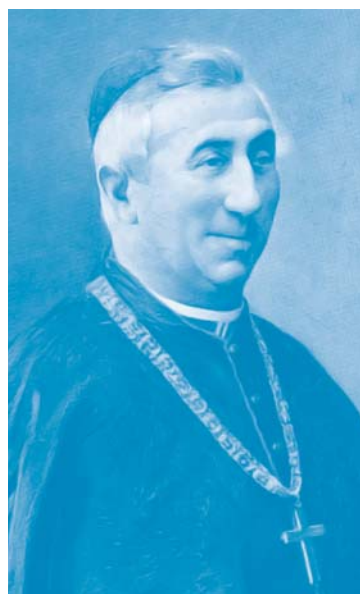
ISSN 1234-8600



1



2



3

# 2

(78) 2014

P. Pencakowski: Tylko we Lwowie ♦ 120 lat po Wystawie Krajowej 1894 ♦ J. Kotliński o Nadprokuratorii Państwowej ♦ B. Banaś o Jadwidze Gamskiej-Łempickiej ♦ E. Zychowicz o prof. Plamitzerze ♦ K. Bulzacki o „Małym Świątku” ♦ Rozmowa z prof. A. Nikodemowiczem ♦ Wiersze Anny Skoczylas ♦ J. Parandowski o lwowskim Corso ♦ Książki

## CZAS POMYŚLEĆ

W tym roku przeżywamy 75. rocznicę utraty niemal połowy naszego Kraju – **Drugiej Rzeczypospolitej** – która ukształtowała się po I wojnie światowej na nowo, z części trzech zabranych nam z końcem XVIII wieku przez zaborców obszarów **Pierwszej Rzeczypospolitej**. Ta nowa Polska, przyjęta przez społeczność międzynarodową, zaspokoiła w jakiejś mierze nasz Naród, bo – choć pomniejszona – znalazły się w niej główne ośrodki polskiej historii i kultury, ukształtowane w ciągu kilkuset lat naszego rozwoju\*.

II wojna zburzyła ten stan. Hitlerowscy okupanci niezwłocznie włączyli Poznań z Wielkopolską, Pomorze i Górny Śląsk do Reichu, a Kraków uznali za *uhrdeutsche Stadt*. Sowieci zaspokoiili Ukraińców i Litwinów Lwowem i Wilnem. Ale kiedy okupanci niemieccy utworzyli Generalne Gubernatorstwo, to poza Warszawą i Krakowem, a także Lublinem i Radomiem, znalazł się w nim niebawem – choć „na chwilę” – także Lwów i tzw. Galicja. Resztę załatwili w 1945 roku Stalin, Roosevelt i Churchill...

Co było dalej, dobrze pamiętamy: ekspatriacja, ponure czasy komuny PRL, potem lżejsze lata gierkowskie, „Solidarność” i wreszcie rok 1989. Z powrotem Rzeczpospolita Polska, ta **Trzecia**, która pozwoliła nam utworzyć Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Oraz przeżyć kolejne ćwierć wieku, by zostawić dla potomnych... – właśnie, co zostawić?

Oczywiście: pamięć i wiedzę. Staraliśmy się usilnie działać w tym kierunku, zastanawialiśmy się też wielokrotnie, jak to zrobić, by owe pamięć i wiedza zachowały się, by trafiły do tych potomnych.

A w ogóle kogo uważamy za potomnych? Czy nasze własne dzieci i wnuki? Czy uznaliśmy wtedy, że one *wejdą w naszą skórę* i zajmą nasze miejsce w ekspatrianckich organizacjach? Tu chyba się zawiedliśmy, bo następne pokolenia, które urodziły się i dorosły w Krakowie, Wrocławiu, Warszawie czy Poznaniu, w licznych miasteczkach i wsiach tych ziem, na które nam wymieniono nasze rodzinne ziemie – te nowe pokolenia poczuły się z czasem, co oczywiste – tutejszymi. Może nie wszystkie, ale gruba większość...

Jednym słowem – nie tędy droga. Bo przecież my, jako urodzeni i wychowani po wschodniej stronie kraju, jako ci, którzy rozumieją ów ważny etap historii Polski, musimy znaleźć konkretne rozwiązanie problemu. Problemu istotnego dla wszystkich Polaków.

Porozmawiamy o tym w następnym numerze. A Czytelnicy i działacze naszych towarzystw – zastanówcie się nad tym, co można zrobić.

\* \* \*

Nasz kwartalnik, jak wiadomo, poświęca większość swoich stron wiedzy o historii, kulturze, o ludziach tamtych stron. Zaczynamy zazwyczaj już od okładki: pokazywaliśmy zabytki, krajobrazy, wielu wybitnych ludzi. W tym roku postanowiliśmy przedstawić lwowskich arcybiskupów, dawnych i współczesnych, a było ich dotąd w ciągu sześciu i pół wieku czterdziestu pięciu\*\*. Nie wszystkich udaje się pokazać, bo nie znaleźliśmy wielu wizerunków w książkach, albumach, w internecie. Pomijamy też tych, którzy często pojawiają się na naszych stronach, pozostawiając miejsce dla postaci całkiem Czytelnikom nieznanym, a przecież ważnych dla historii naszego lwowskiego Kościoła.

Koniec końców na okładkach czterech numerów Czytelnicy poznają 12 wizerunków i krótkich życiorysów wybitnych lwowskich arcybiskupów (w tym jednego ormiańskokatolickiego oraz biskupa kamieniecko-podolskiego).

Redakcja

\* Zabrakło jednak kilku punktów ważnych dla Narodu i Państwa – Gdańska, Opolszczyzny, Kamieńca Podolskiego, a nawet małego skrawka Górnego Śląska – Zaolzia.

\*\* Licząc oczywiście z obecnym abpem M. Mokrzyckim.

# Rok Herberta

Dziewięćdziesiąta rocznica urodzin  
Lwów 1924 – Warszawa 1998



## ŻYCIE I TWÓRCZOŚĆ

Zbigniew Herbert urodził się 29 października 1924 roku we Lwowie. Jak powiedział w wywiadzie udzielonym tygodnikowi „Polityka”, jego pradziadek przybył z Anglii, przez Wiedeń, na teren ówczesnej Galicji, to jest południowo-wschodniej Polski pod zaborem austriackim. Pradziadek pracował jako nauczyciel języka angielskiego. Początkowo nie umiał mówić po polsku. Przesadą byłoby dopatrywać się w tej genealogii jakichś źródeł „europejskości” pisarstwa Herberta czy iście anglosaskiej powściągliwości jego liryki (nie znajdującą wielu odpowiedników w poezji polskiej). Lecz z pewnością fakty te mają swą choćby symboliczną wymowę.

Wnuk tamtego pradziadka-Anglika, a ojciec Zbigniewa Herberta zasłużył się Polsce w okresie I wojny światowej jako legionista i gorący patriota. Do roku 1939 ojciec poety był dyrektorem banku we Lwowie. Właśnie on rozbudził w synu zainteresowania humanistyczne. *Tata opowiadał mi Odyseję, kiedy miałem trzy lata. Nie musiałem szukać w słowniku, kto to był Polifem – było to dla mnie jasne, wzrastałem w tym po prostu* – powiedział później Herbert, wspominając beztroski okres dzieciństwa.

*dokończenie na s. 57*

**Zbigniew Herbert**

## *Prześlanie Pana Cogito*

Idź dokąd poszli tamci do ciemnego kresu  
po złote runo nicości twoją ostatnią nagrodę

idź wyprostowany wśród tych co na kolanach  
wśród odwróconych plecami i obalonych w proch

ocalałeś nie po to aby żyć  
masz mało czasu trzeba dać świadectwo

bądź odważny gdy rozum zawodzi bądź odważny  
w ostatecznym rachunku jedynie to się liczy

a Gniew twój bezsilny niech będzie jak morze  
ilekroć usłyszysz głos poniżonych i bitych

niech nie opuszcza ciebie twoja siostra Pogarda  
dla szpiclów katów tchórzy – oni wygrają  
pójdą na twój pogrzeb i z ulgą rzucą grudę  
a kornik napisze twój uładzony życiorys

i nie przebaczaj zaiste nie w twojej mocy  
przebaczać w imieniu tych których zdradzono o świcie

strzeż się jednak dumy niepotrzebnej  
oglądaj w lustrze swą błazeńską twarz  
powtarzaj: zostałem powołany – czyż nie było  
lepszyc

strzeż się oschłości serca kochaj źródło zaranne  
ptaka o nieznanym imieniu dąb zimowy  
światło na murze splendor nieba  
one nie potrzebują twego ciepłego oddechu  
są po to aby mówić: nikt cię nie pocieszy

czuwal – kiedy światło na górach daje znak – wstań  
i idź  
dopóki krew obraca w piersi twoją ciemną gwiazdę

powtarzaj stare zaklęcia ludzkości bajki i legendy  
bo tak zdobędziesz dobro którego nie zdobędziesz  
powtarzaj wielkie słowa powtarzaj je z uporem  
jak ci co szli przez pustynię i ginęli w piasku

a nagrodzą cię za to tym co mają pod ręką  
chłostą śmiechu zabójstwem na śmietniku

idź bo tylko tak będziesz przyjęty do grona zimnych  
czaszek

do grona twoich przodków: Gilgamesza Hektora  
Rolanda  
obrońców królestwa bez kresu i miasta popiołów

Bądź wierny Idź

# Tylko we Lwowie... (2)



Inaczej niż Kraków – zduszony w czasach rozbiorów ciasną pętlą austriackiej twierdzy i zagęszczony pod koniec XIX stulecia do ostateczności – był Lwów miastem pełnym zieleni, powietrza, rozmachu. Tu przeprowadzono poważne prace przy regulacji Pełtwi, którą ujęto w kanał, wzniesiono wodociągi miejskie, tu przeprowadzono regulację terenów otaczające stare centrum średniowieczne, dzięki czemu rozwinęły się arterie: Wały Hetmańskie i Wały Gubernatorskie, ulica Akademicka itd. Na przełomie wieków XVIII i XIX założono Cmentarz Łyczakowski – przepiękną nekropolię epoki Oświecenia i Romantyzmu rozwijaną przez następne generacje. Ten Lwów to miasto Seweryna Goszczyńskiego, Borkowskich, Aleksandra Fredry, miasto „Gazety Lwowskiej”, „Rozmaitości”, „Dziennika Mód Paryskich”, miasto muzeów i fermentu intelektualnego, jak również miejsce budzenia się ukraińskiej świadomości narodowej. To wszystko stało się ramą dla rozwoju architektury i sztuki, zanim powstały jeszcze przed połową XIX stulecia: Ossolineum, teatr Skarbka, Mu-

zeum Dzieduszyckich, Uniwersytet (stary obiekt), Pałac Gubernatorski i inne gmachy państwowe, w tym więzienia, pałac Arcybiskupów Łacińskich, wielka Synagoga Postępowa. Przebudowany został Ratusz Lwowski, wzniesiona – dla pilnowania niepokornego miasta – twierdza austriacka, Koszary Ferdynanda, a w 1855 roku ogromne Schronisko Weteranów Wojskowych. Oczywiście wzniesiono też pierwszy dworzec kolejowy, wiele kamienic, hoteli (np. stary hotel George'a).

W epoce autonomicznej, a zarazem w czasach wielkiego dynamizmu budowlanego i przełomu cywilizacyjnego, wyrosły tu najwspanialsze na ziemiach polskich gmachy publiczne: Sejm Krajowy (później Uniwersytet Jana Kazimierza), Politechnika, budynek Namiestnictwa, kościół św. Elżbiety, cerkiew św. Jerzego, cerkiew Wniebowstąpienia, Dworzec Główny (nowy), Teatr Miejski, gmachy muzeów (Medycznego, Chemii i Mineralogii, Chirurgii, Psychiatrii, Handlu Zagranicznego, jak też Biblioteka Uniwersytecka). Powstały bursy i internaty, Greckokatolickie Seminarium Duchowne, monumentalne gmachy szkół średnich i tzw. trywialnych, siedziby rozmaitych stowarzyszeń (Sokoła, Towarzystwa Muzycznego, Ukraińskiego Towarzystwa Pedagogicznego, banków, firm asekuracyjnych, Izby Przemysłowo-Handlowej, licznych hoteli, kasyn i firm. Były też koszary Straży Ogniowej, Dyrekcja Kolei Żelaznych, gmachy Najwyższego Sądu Galicyjskiego, komendy policji.

Wznoszono szpitale (w tym ciekawy architektonicznie szpital żydowski), sanatoria, instytucje dobroczynne, kamienice, pałace, pracownie artystów, wielkie domy handlowe, zakłady przemysłowe.

W roku 1894 powstało wielkie założenie Powszechnej Wystawy Krajowej z rotundą Panoramy Raclawickiej, a nieco później, w sercu miasta, słynny Pasaż Mikolascha. Faza historycyzmu i eklektyzmu przechodzi stopniowo w secesję i modernizm. Dodajmy, że również w czasach międzywojennych powstawały interesujące budowle, np. Poczta

Główna, Gimnazjum Urszulanek, Dom Pracowników Gminy Miasta Lwowa, Dom Żołnierza, kościół Matki Boskiej Ostrobramskiej. Na ulicach i placach stały pomniki (niektóre przetrwały do dziś, jak pomnik Adama Mickiewicza dłuta Antoniego Popiela), fasady i wnętrza zdobiły rzeźby oraz malowidła najwybitniejszych artystów.

Kraków czasów autonomii – drugie miasto Galicji – był Polskimi Atenami, pozostał jednak konserwatywny, zamknięty bez przemysłu i dynamizmu, rządzony przez arystokrację, profesurę (stronnictwo Stańczyków) i kler. W myśleniu dominowała lojalność wobec zaborcy i dążenie do ułożenia spraw polskich w oparciu o cesarstwo Habsburgów. We Lwowie była zupełnie inna atmosfera: Lwów był demokratyczny, buntowniczy, wolnościowy, rozpolitykowany. Lwów był miejscem zmiennych koniunktur gospodarczych, szybkich inwestycji i rozwoju myśli narodowej polskiej, jak również ukraińskiej, a także literatury i sztuki, poezji i teatru. To miasto Konopnickiej, Zapolskiej, Staffa, Iwana Franki, Wittlina i Hemara. Atrakcyjna kultura polska stanowiła w sposób ewidentny wzorzec dla rozwijającej się kultury ukraińskiej, czerpiącej równocześnie inspiracje z wielowiekowej historii Rusi oraz z kultury ludu ruskiego.



Wnętrze kopuły kaplicy Boimów



Wnętrze katedry ormiańskiej

Jednak rozpad cesarstwa ożywił stare upiory i antagonizmy narodowe. Pod koniec I wojny światowej, w listopadzie 1918 roku, polskie dzieci i młodzież stanęli do walki o swoje miasto z regularnymi oddziałami armii ukraińskiej, uzbrojonej przez zaborcę. Krótkotrwała wojna o Lwów była wielkim nieszczęściem dla wszystkich mieszkających tam ludzi, którzy mieli tam żyć razem w przyszłości (...). Była też jedną z najpiękniejszych kart polskiego patriotyzmu, podobnie jak obrona Lwowa w 1920 r. przed nawałą bolszewicką, zmierzającą do serca Europy przez trupa „pańskiej Polski”. Poległym w kwiecie młodości obrońcom miasta – lwowskim Orłętom – zbudowano w latach międzywojennych przepiękny cmentarz, zniszczony za czasów sowieckich, a odbudowany i ponownie otwarty za naszych dni.

\* \* \*

Ten właśnie Lwów wielkiej sztuki i architektury zacząłem poznawać w sposób bardziej metodyczny i całościowy, gdy studiowałem historię sztuki na Uniwersytecie Jagiellońskim. Było to w czasach, kiedy podróże do Lwowa były możliwe wyłącznie w grupie i pod kontrolą, więc ich nie przedsiębrałem. Wiele z tych dzieł należy do czołowych pomników kultury i sztuki wschodnich ziem



Cerkiew Wołoska

Królestwa Polskiego i Europy Środkowej: według tej hierarchii – hierarchii wartości artystycznej szeregują je sobie teraz w „muzeum wyobraźni”.

Oto majestatyczna gotycka katedra łacińska sąsiadująca z rynkiem – trójnawowa budowla halowa z prezbiterium zamkniętym

wielobocznie, należąca do typu szczególnie popularnego na tych terenach w II połowie XIV i w XV stuleciu. Budowali ją majstrowie cechowi, także tacy o niemiecko brzmiących nazwiskach: Mikołaj Niczko, Piotr Stecher, Jan Blecher. Katedra była wspaniale zdobiona. Przy niej lub w jej pobliżu powstawały później kaplice, m.in. Kampianów i Boimów, będące wybitnymi dziełami architektury późnorennesansowej i rzeźby manieryzmu północnego. W latach siedemdziesiątych XVIII wieku katedrę łacińską modernizowano: architekt Piotr i rzeźbiarz Maciej Polejowscy oraz malarz Stanisław Stroński przekształcili wnętrze świątyni i jej wieżę. Kolejne działania podjęto u schyłku epoki historyzmu i w czasach Młodej Polski. Tu w ołtarzu głównym znajdował się obraz Matki Boskiej Łaskawej – patronki miasta, pędzla lwowskiego patrycjusza Józefa Szolc-Wolfowicza, dzieła namalowanego w 1598 roku (przed nim właśnie składał swe śluby Jan Kazimierz), a obecnie jest kopia obrazu. Wyżej wspomniałem stojącą na dawnym cmentarzu katedralnym kaplicę Ogrojcową ufundowaną przez patrycjuszowski ród Boimów. Powstała w latach 1600–1619, nawiązuje w strukturze do berrecciowskiego typu Kaplicy Zygmuntońskiej na Wawelu, ale zadziwia atektoniczną artykulacją i bogactwem rzeźby, przedstawiającej na fasadzie dwunastu Apostołów, wreszcie Chrystusa Bolesnego na kopulce latarni. We wnętrzu ołtarz, nagrobki Boimów i bajeczna kopuła – wszystko zdobione rzeźbą, ornamentem oraz malowidłami manierystycznymi i prezentujące w najwyższym możliwym zakresie *horror vacui* – obawę przed wolnym miejscem. Kaplicę wznosił Andrzej Bemer, a rzeźby przypisuje się tradycyjnie Janowi Pfisterowi.

Mówiąc o katedrach, nie sposób nie wspomnieć katedry ormiańskiej. Jej architektura należy do sztuki orientu i jest swego rodzaju przetrztem stylowym. O pochodzeniu architekta różnie się mówi, głównie w zależności od tego jak interpretuje się zapis jego nazwiska (Dorchi vel Doring).

Najstarsza część katedry prezentuje typ charakterystyczny dla budownictwa sakralnego wschodniego chrześcijaństwa, w tym architektury Kościoła ormiańskiego, styl zaś, rozumiany jako budowa formy i detal, typowy jest dla architektury Bliskiego Wschodu XIV stulecia. Katedrę ormiańską wraz z kompleksem otaczających jej budowli zaczęto wznosić za czasów Kazimierza Wielkiego, w latach 1356–1363. W jej dekoracji pojawiają się typowe ormiańskie krzyże wotywnne, w niszach okien zachowały się szczątki malowideł bizantyjskich z XV/XVI wieku. W latach dwudziestych XX wieku katedra została rozbudowana przez architekta Franciszka Mączyńskiego. Jej wnętrza zdobią dziś mozaiki projektu Józefa Mehoffera oraz malowidła ścienne i witraże z lat 1925–1929, autorstwa Jana Henryka Rosena, wybitnego malarza epoki międzywojennej, człowieka, który potrafił łączyć w swej sztuce elementy Art Deco ze szlachetnym chrześcijańskim symbolizmem i wielką tradycją sztuki Kościoła sprzed wieków. Działając na polecenie światłego arcybiskupa ormiańskiego Józefa Teodorowicza, Rosen stworzył dzieło wybitnej wartości, emanujące *sacrum* o szla-



Cerkiew św. Jura



Kościół Bernardynów

Cerkiew przy ulicy Ruskiej istniała już w roku 1421, ale nie został po niej żaden ślad. Obecna to wybitne dzieło architektury północnowłoskiej, wzniesione z inicjatywy bractwa Stauropigijskiego (Uspieńskiego), a szczególnie jednego z najwybitniejszych lwowian tych czasów – Greka, Konstantego Korniakta. Pieniądże na ten cel łożyli też gospodarowie wołoscy (stąd nazwa), atamani kozaccy (Piotr Konaszewicz Sahajdaczny) i carowie rosyjscy. Trójnawową budowlę z kopułami wznosił architekt Piotr Barbon, pochodzący z Padwy, i jego współpracownicy oraz następcy: Paweł Rzymianin (zw. Szczęśliwym) i Ambroży Nutclaus (zw. Przychylnym), rodem z Retoromanii.

chetnej czystości i w skali niespotykanej w sztuce tego czasu. Katedrę otacza malowniczy cmentarz, na którym znajdują się nagrobki lwowskich Ormian, dokumentując ich wielowiekowy związek z tym miastem. Wieża katedralna powstała w roku 1571, skromny pałac biskupi zbudowano w epoce baroku. Ulica Ormiańska i zespół katedralny jest niewątpliwie jednym z najpiękniejszych zakątków Lwowa.

Nawiasem mówiąc, te przydomki mówią coś o ludziach i o atmosferze miasta Lwowa: tam każdy przyjezdny czy miejscowy mógł być szczęśliwy i przychylny swym bliźnim. Roboty trwały od roku 1571 do 1629. Majestatyczna budowla łączy w nadzwyczajny sposób zespół form typowych dla północnowłoskiego renesansu z odwieczną ideą kopułowej świątyni prawosławnej, zachwyca dojrzałością koncepcji architektonicznej, szlachetnością proporcji, surowością artykulacji (porządek tokański) oraz perfekcyjnie aplikowanym detalem. Przy niej znajduje się piękna kaplica Trzech Świętych Teologów, której strukturę, wzorowaną na głównym budynku, pokrywa przebogata dekoracja ornamentalna, i wieża zwana Korniaktowską.

Na zachód od centrum miasta wznosi się katedra unicka św. Jura, postawiona w miejscu starszej – jedno z czołowych dzieł architektury późnobarokowej dawnej Rzeczypospolitej. Jest to realizacja projektu znakomitego architekta Bernarda Meretyna z lat 1744–1761, który pracował na polecenie dwóch kolejnych arcybiskupów unickich Atanazego i Leona Szeptyckich. Zachwył budzi już sama lokalizacja zespołu katedralnego, który zajmuje szczyt wzgórza. Katedra założona jest na planie krzyża, wieńczy ją wyniosła kopuła. Elewacje zewnętrzne, a szczególnie fasada prowadzone są miękką linią, łącząc elementy wklęsłe z wypukłymi. Artykulację pilastrową uzupełnia doskonała rzeźba figuralna Jerzego Pinsla – czołowego rzeźbiarza tzw. szkoły rokoka lwowskiego. We wnętrzu ikonostas podobny do współczesnych ołtarzy późnobarokowych. Katedra jest dominantą zespołu, na który składa się również pałac arcybiskupi, gmachy kapituły i park na zboczu wzgórza. Pod względem stylowym budowla wywodzi się z architektury zachodnioeuropejskiej (ściśle mówiąc austriackiej), którą Kościół Unicki, podległy Rzymowi, akceptował w XVIII wieku w pełnym zakresie.

*Ciąg dalszy w następnym numerze*

Wspomnieć należy również dwie wyjątkowej klasy świątynie późnorennesansowe: cerkiew Wołoską i kościół Bernardynów.



Kościół Dominikanów

# WE LWOWIE PRZED 120 LATY

**Przypominamy Powszechną Wystawę Krajową we Lwowie 1894 r.**

*Przepisujemy artykuł, który ukazał się w „Słowie – Dzienniku Katolickim” nr 61 w 1994 r. Jego oryginalny tytuł brzmi: „Lwów w Krakowie. W setną rocznicę Lwowskiej Wystawy Krajowej”*

W Krakowie w Galerii Międzynarodowego Centrum Kultury czynna jest\* ekspozycja przypominająca lwowską Wystawę Krajową z roku 1894. Ówczesna wystawa była wielkim triumfem Galicji i miasta Lwowa oraz wielką manifestacją polskości. Zorganizowana w Krakowie w jej setną rocznicę ekspozycja gromadzi fotografie udostępnione przez Muzeum Etnograficzne i Archiwum Obwodowe we Lwowie oraz dzieła sztuki z Muzeum Narodowego w Krakowie, a za zadanie ma nie dopuścić do tego, by zapomniano tak ważne – choć może niedoceniane – wydarzenie z naszych dziejów.

Organizowanie tego typu wystaw było w XIX wieku obyczajem powszechnie przyjętym; pierwsza odbyła się w 1851 roku w Londynie (pozostał po niej słynny Crystal Palace), a potem potoczyły się inne ogólnoświatowe i krajowe, z których szczególnego wspomnienia warta jest Wystawa Paryska – zostawiła bowiem po sobie wieżę Eiffla. Wystawy takie miały znaczenie ogólnocywi-

lizacyjne; nie tylko gospodarcze i techniczne ale i kulturowe.

Również wystawa lwowska, prezentując dorobek gospodarzy i cywilizacyjnej Galicji, nie zapomniała o kulturze. Wiele spośród 129 specjalnie na tę okazję zaprojektowanych i wybudowanych pawilonów – i to w ciągu zaledwie dwóch lat – zawierało dzieła sztuki. Prezentowano twórców podówczas już uznanych: Chełmońskiego, Godebskiego, Brandta, Gierymskiego, Witkiewicza, nie wspominając już o specjalnym pawilonie poświęconym w całości pośmiertnej prezentacji dzieł Matejki; wystawiono także twórców młodych i nowatorskich: Boznańską, Stanisławskiego, Fałata, Wyspiańskiego.

Osobny pawilon poświęcono *Panoramie Raclawickiej* Styki i Kossaka, tak dziś popularnej, a wykonanej specjalnie na tę wystawę odbywającą się w setną rocznicę insurekcji.

Organizatorzy zadbali także o coś dla ciała i rozrywki. Zmęczonym zwiedzaniem 50-hektarowej wystawy baron Götz oferował wyroby swojego browaru, a spragnieni mocniejszych wrażeń mogli przejechać się kolejką linową ponad 30-metrowym parowem.

Kolejnym efektem tej wystawy była pierwsza w tym rejonie Europy linia tramwaju elektrycznego łącząca tereny wystawowe z centrum miasta.

Całość wystawy prezentowanej przez cztery i pół miesiąca zwiedziło 1 150 000 osób, czyli 10 razy więcej, niż liczył sobie podówczas Lwów.

Za wydarzenie to byli odpowiedzialni ojcowie miasta (wystawa potwierdziła metropolitalne ambicje Lwowa) oraz stojący na czele Komitetu Wystawy książę Adam Sapieha, którego podobiznę malarz Jan Matejko umieścił na obrazie „Bitwa pod Grunwaldem” w miejscu centralnym: w postaci księcia Witolda. Nad stroną architektoniczną czuwał rektor politechniki i ojciec lwowskiej szkoły architektury Julian Zachariewicz, a trzeba pamiętać, że sama potrzeba zaprojektowania tylu obiektów była dla architektury polskiej olbrzymią szansą. Podziw dla organizatorów trzeba mieć tym większy, iż wystawa pochłonęła sumy porównywalne z ówczesnym rocznym budżetem Krakowa! I wreszcie informacja ostatnia, lecz nie najmniej ważna – wystawę zaszczylił swą obecnością sam cesarz Franciszek Józef I, na którego czekał specjalnie przez T. Rybkowskiego zaprojektowany pawilon cesarski ▶

Plac Powystawowy, zdjęcie z lat międzywojennych wykonane z samolotu (skrzydło widoczne po lewej stronie zdjęcia). Powyżej Park Stryjski, a jeszcze dalej Szkoła Kadecka przy ul. Stryjskiej.





**Tomasz J. Kotliński**

## NADPROKURATORIA PAŃSTWA WE LWOWIE I JEJ ZWIERZCHNICY

**Źródło nowoczesnej instytucji prokuratury państwa, w monarchii austriackiej rozumianej jako urząd przeznaczony do wykrywania przestępstw, ścigania przestępców i ich oskarżania przez sądami, należy szukać w zmianach przeprowadzonych po wydarzeniach rewolucji – Wiośnie Ludów. Zmiany te, prowadzone początkowo w duchu liberalnym, polegały na powołaniu do życia całkowicie nowej instytucji prokuratury rządowej.**

Brak takiego organu był szczególnie widoczny na przykładzie Królestwa Galicji i Lodomerii, gdzie nadal funkcjonowały fora szlacheckie, sądy kryminalne i cały system sądownictwa patrymonialnego. Przy okazji projektu nowej organizacji sądownictwa w Galicji, Wielkim Księstwie Krakowskim i w Księstwie Bukowiny, przedstawionego do sankcji cesarskiej w listopadzie 1850 r., minister sprawiedliwości Antoni Schamerling zapowiedział też potrzebę utworzenia urzędu Generalnego Prokuratora przy planowanym Wyższym Trybunale Krajowym dla Galicji. Miał on posiadać do swojej dyspozycji dwóch zastępców funkcjonujących odpowiednio przy senatach trybunału w Krakowie i Stanisławowie wraz z odpowiednią liczbą urzędników. Ostatecznie, w toku prowadzonej dyskusji, zrezygnowano z proponowanego rozwiązania i zdecydowano się na utworzenie instytucji generalnego prokuratora

przy wiedeńskim Trybunale Sądowym i Kasacyjnym i nadprokuratorów przy wyższych sądach krajowych z podległymi im prokuratorami państwa przy sądach obwodowych. W przypadku Galicji nowe urzędy Nadprokuratury rozpoczęły swoją działalność z dniem 29 września 1855 r.

Urząd nadprokuratora państwa w sądownictwie austriackim odpowiadał w zasadzie pojęciu dzisiejszego prokuratora apelacyjnego. Warto zaznaczyć, że nadprokurator był często określany mianem starszego prokuratora państwa. Na stosunkowo duży obszar Królestwa Galicji i Lodomerii wraz z Wielkim Księstwem Krakowskim przewidziano tylko dwa takie urzędy, jeden dla Galicji Zachodniej i jeden dla Galicji Wschodniej i Księstwa Bukowiny. Instytucja Nadprokuratury Państwa została wprowadzona wraz z przeprowadzaną reformą sądownictwa galicyjskiego. Zasadnicze postanowienia odnoszące się do wewnętrznej organizacji prokuratury zostały zaś szczegółowo określone rozporządzeniem ministra sprawiedliwości z sierpnia 1854 r.

Prokuratorzy byli powołani przede wszystkim do ścigania z urzędu określonej kategorii czynów karalnych. Natomiast nadprokuratorzy pełnili przede wszystkim funkcje nadzorcze i kontrolne. Zgodnie z przepisami austriackiej procedury karnej z 1873 r. nadprokuratorom podlegali służbowo prokuratorzy państwa przy trybunałach sądowych w okręgach ich właściwości, sami zaś nadprokuratorzy podlegali bezpośrednio ministrowi sprawiedliwości. Zadaniem nadprokuratora w toku postępowań karnych było przede wszystkim występowanie w sprawach prowadzonych przed trybunałem drugiej instancji, nadto sprawował on osobisty nadzór nad wszystkimi prowadzo-

- ▶ oraz brama tryumfalna wybudowana wedle projektu K. Boublika u wyloty ulicy Gródeckiej. Krakowskiej wystawy prezydent RP pewnie nie odwiedzi, ale i tak dyrektorowi krakowskiego MCK\*\* należą się podziękowania za przypomnienie o wydarzeniu ważnym, wyjątkowym w naszych dziejach, a tak niedocenianym.

\* Oczywiście – była, bo wystawa w MCK odbyła się w stulecie tamtej, czyli w 1994 roku.

\*\* Dyrektorem Międzynarodowego Centrum Kultury był wtedy – i jest nadal – prof. Jacek Purchla, który dla naszego kwartalnika napisał artykuł pt. *W stulecie Powszechnej Wystawy Krajowej we Lwowie 1894 roku* (CL 2/1995). Polecamy przeczytanie ponownie tego artykułu, a także drugiego – przyslanego nam ze Lwowa przez Jurija Birijulowa pt. *Chodząc po wystawie*. Jesteśmy przekonani, że większość naszych Czytelników posiada ten numer CL sprzed dwudziestu lat. Jeżeli nie – możemy przesłać odbitkę ksero.

nymi w jego okręgu sprawami karnymi przed trybunałami pierwszej instancji i sądami powiatowymi. Mógł on wziąć udział w każdej sprawie toczony przed takim trybunałem lub sądem. Do nadprokuratorów należał obowiązek przedkładania ministrowi sprawiedliwości rocznych sprawozdań o liczbie zakończonych i będących w toku w danym roku spraw karnych prowadzonych w jego okręgu apelacyjnym. Nowa procedura karna wprowadziła do procesu karnego instytucję funkcjonariuszy prokuraturii, którzy wykonywali funkcję oraz zadania oskarżyciela w postępowaniu przed sądami powiatowymi. Przeprowadzanie konkursów na urząd funkcyjny, jak i ich mianowanie należało do nadprokuratorów.

Szczególnym zadaniem starszych prokuratorów państwa było podejmowanie ogółu czynności o charakterze nadzorczym i zarządczym wobec zakładów karnych. Obowiązki te zostały przekazane na rzecz nadprokuratorów w 1863 r. Tym samym dwóch galicyjskich nadprokuratorów zarządało od tego roku trzema, a z czasem czterema austriackimi więzieniami znajdującymi się na terenie Galicji. Było to zadanie niezwykle odpowiedzialne, jeśli weźmie się pod uwagę zwłaszcza fakt, że był to okres bardzo intensywnego rozwoju systemu penitencjarnego. W dużej mierze zatem to właśnie od odpowiednich decyzji nadprokuratorów zależała modernizacja zakładów karnych, wprowadzanie w nich nauczania, zakładanie bibliotek czy też warsztatów więziennych. Nadprokuratorom przysługiwały także znaczne uprawnienia w myśl przepisów ustawy z 1868 r. o postępowaniu dyscyplinarnym przeciw sędziom. Mieli oni przyznane uprawnienia procesowe w toku dochodzenia, stawali również przy rozprawach dyscyplinarnych, a także służyło im prawo odwoływania się od orzeczeń sądów apelacyjnych wydanych w sprawach dyscyplinarnych urzędników sądowych.

Warto zaznaczyć, że po wprowadzeniu nowej austriackiej procedury karnej z 1873 r. nastąpiło formalne oddzielenie instytucji prokuratury państwa od sądownictwa. Do tej pory prokuratura de facto stanowiła wspólny organizm z sądami, co wyrażało się w jednakowym statucie organizacyjnym oraz tej samej obsadzie służbowej. Po zmianach wprowadzono też dwa samodzielne sta-

nowiska służbowe: adiunkta i auskultanta prokuratury państwa. Mimo to w Królestwie Galicji istniała zwyczajowa praktyka obsadzania urzędującymi prokuratorami posad sędziowskich. Dlatego też na przestrzeni kilkudziesięciu lat można zaobserwować zjawisko, w którym praca w prokuraturze państwa była wstępem do kariery w wymiarze sprawiedliwości. Wielu prezydentów sądów krajowych przed mianowaniem na ten urząd pełniło funkcję prokuratorów państwa lub ich zastępców.

W związku z wprowadzeniem urzędu prokuratury rządowej – cesarz 11 II 1855 r. dokonał pierwszych nominacji na urzędy zwierzchnie w tej instytucji. W tym dniu pierwszym nadprokuratorem lwowskim dla Galicji Wschodniej i Bukowiny został dotychczasowy radca sądu krajowego w Lublanie Franciszek Omeiz. Niestety nie udało mi się odnaleźć dodatkowych informacji na jego temat. Jego następcą mianowano radcę wyższego sądu krajowego Maurycego A u f f e n b e r g a. Niestety i w tym przypadku nie zachowało się w prasie wiele informacji o urzędującym nadprokuratorem. Można jedynie wspomnieć, że został on odznaczony przez cesarza Orderem Żelaznej Korony trzeciej klasy, w czerwcu 1869 r. otrzymał zaś godność radcy dworu. Pierwsi lwowscy zwierzchnicy Nadprokuraturii byli powołani w okresie germanizacji sądownictwa krajowego, stąd też byli z pochodzenia Niemcami. Dopiero polonizacja galicyjskiego wymiaru sprawiedliwości pozwoliła powoływać na urząd nadprokuratora Polaków, czego przykładem jest następca przedstawionych osób.

Kolejnym nadprokuratorem dla Wschodniej Galicji został mianowany aktem z 19 V 1872 r. dotychczasowy lwowski prokurator państwa Wincenty Danek.

Nowy zwierzchnik prokuratury urodził się w 1812 r. w miejscowości Sułkowice w obwodzie wadowickim. Po ukończeniu studiów prawniczych w 1836 r. Danek wstąpił do służby państwowej jako praktykant konceptowy przy dyrekcji Galicyjskiego Urzędu Kameralnego. W 1838 r. przeniósł się na stanowisko praktykanta przy magistracie miasta Lwowa, a w rok później został asesorem przy magistracie w Mościskach. Po kilku latach pobytu w tym mieście władze przeniosły Dankę na urząd asesora do Złoczowa. Jego pracowitość skłoniła władze polityczne do mianowa-

**Bernardyna Banaś (Przemyśl)**

## WOKÓŁ BIOGRAFII JADWIGI GAMSKIEJ-ŁEMPICKIEJ (1903–1956)

*Moje pieśni jak rosa przeleć*

**W 2013 roku przypadła 110. rocznica urodzin Jadwigi Gamskiej-Łempickiej – poetki i tłumaczki. Z okazji tego jubileuszu warto przypomnieć postać autorki, która mimo talentu i wysiłku twórczego nie zaistniała w świadomości polskiej XXI wieku, a jej twórczość została zapomniana.**

Pierwsze zbiory poetyckie autorki wzbudziły podziw i uznanie krytyków literackich dwudziestolecia międzywojennego, którzy dostrzegli jej niezwykle talent i powagę tematu. W okresie wojny i okupacji spod pióra Jadwigi Gamskiej-Łempickiej wyszło wiele wzruszających wierszy patriotycznych. W rzeczywistości PRL-u mimo usilnych sta-

rań nie zdołała wydać żadnego tomiku swoich wierszy, skazana na milczenie, pisała do szuflady. Zyskała wówczas uznanie jej twórczość przekładowa. Po tragicznej śmierci grupa przyjaciół opublikowała tomik *Słowa dla ludzi*. Pozostałe teksty w niewyjaśnionych okolicznościach trafiły do składu makulatury, skąd uratował je przed przemiałem Stanisław Czarniecki i przekazał do Zakładu Narodowego im. Ossolińskich.

Jadwiga Maria Gamska-Łempicka urodziła się w Przemyślu jako jedyna córka Emila, oficjała Krajowego Towarzystwa Ubezpieczeń, i Józefy Wandy z Grzeszczuków. Rodzina Gamskich mieszkała w Przemyślu. ►

► nia go kolejno burmistrzem Sokala, Żółkwi i Sambora, a w 1853 r. radcą krakowskiego magistratu. W służbie we władzach politycznych Danek pozostawał do czasu przeprowadzenia w 1855 r. reformy organizacji sądownictwa. Przy tej okazji został naczelnikiem urzędu powiatowego w Bochni. Na tym stanowisku pozostawał tylko przez około dwa miesiące, po czym otrzymał tytuł radcy sądowego i objął urząd prokuratora państwa przy Sądzie Obwodowym w Przemyślu. W sierpniu 1864 Danek otrzymał w dowód zasług godność i charakter radcy sądu krajowego, a końcem grudnia tego samego roku został przeniesiony przez ministra sprawiedliwości na urząd prokuratora państwa przy lwowskim Sądzie Krajowym, skąd awansował na stanowisko nadprokuratora. Na tym urzędzie Wincenty Danek zyskał sobie poważanie i szacunek w środowisku prawniczym i wśród inteligencji krajowej. Akcentowano jego pracowitość i sumienność. Krajowa prasa podkreślała, że Danek nie wykraczał poza granice określone urzędowym obowiązkiem i nie należał do tych prokuratorów, którzy ze zbytku gorliwości ścigali wszystkich i wszystko, co im się tylko wydawało podejrzane. Te cechy charakteru

docenił też resort sprawiedliwości i nadprokurator Danek otrzymał od cesarza tytuł i charakter radcy dworu, został również kawalerem Orderu Żelaznej Korony. Jak wspomniano, do zadań nadprokuratorów należał nadzór nad zakładami karnymi. W tym zakresie Danką można uważać za reformatora męskiego zakładu karnego we Lwowie, czyli tzw. Brygidek. Jego osobiste starania doprowadziły do znaczącego zwiększenia dochodów zakładu z tytułu zatrudniania więźniów, zorganizował też na nowo szkołę, założył szkółkę muzyczną i warsztaty dla więźniów oraz utworzył bibliotekę liczącą w 1879 r. blisko trzy tysiące tomów. Niezależnie od pracy urzędowej Wincenty Danek był znany we Lwowie jako meloman i popularyzator muzyki. Był członkiem lwowskiego Towarzystwa Muzycznego, do którego rozwoju znacznie się przyczynił. Prywatnie Danek komponował własne utwory muzyczne, zwłaszcza polonezy, które chętnie grywane były w domach lwowskich mieszczan. Wincenty Danek zmarł nagle we Lwowie 21 czerwca 1879 r. i został pochowany na Cmentarzu Łyczakowskim.

*Dokończenie w następnym numerze*



Państwo Lempiccy w czasie wakacji w Płwnicznej, 1939 r.

Jadwiga Gamska naukę szkolną rozpoczęła w 1914 r. w Prywatnym Gimnazjum Anny Rachalskiej w Przemyślu. Nazwa szkoły, w wyniku reform i zmian reorganizacyjnych oraz przekształceń własnościowych po odzyskaniu niepodległości przez Polskę, została zmodyfikowana na Prywatne Gimnazjum Żeńskie im. Marii Konopnickiej w Przemyślu. Przez cały okres edukacji wyróżniała się bardzo dobrymi stopniami, a promocję do każdej następnej klasy otrzymywała jako uczennica „chlubnie” uzdolniona. Pedagodzy podkreślali jej perfekcyjną znajomość języka niemieckiego i łaciny. Ponadto nadobowiązkowo uczyła się języka francuskiego.

Już we wczesnych latach szkolnych zaczęła próbować swych sił jako poetka. Zadebiutowała wierszem *Szedł na Golgotę* na łamach „Kuriera Lwowskiego” w 1915 r. Kolejne utwory *Pobojowisko* i *Tym, co odeszli* opublikowała pod pseudonimem *Pył* na łamach „Ziemi Przemyskiej” w 1919 r. Wiersze te są zapisem przeżyć związanych z walkami o Lwów i Przemyśl.

W czerwcu 1922 r. zdała egzamin dojrzałości z wynikiem celującym, a następnie

opuściła ukochane miasto, które później z wielkim rozrzewnieniem wspomina na kartach swoich utworów. Udała się do Lwowa, gdzie na Uniwersytecie Jana Kazimierza podjęła studia polonistyczne.

W 1924 r. rozpoczęła pracę jako bibliotekarka w Polskim Muzeum Szkolnym i Bibliotece Baworowskich. W maju 1927 r. wydała pierwszy tomik poetycki pt. *Przechodniom*. Wiersze tego zbioru, wyrosłe z tradycji modernistycznej, zabarwione nutą dekadencji, stanowią poetycką refleksję na temat sensu istnienia człowieka, samotności i cierpienia. Liryki te rozpięte są na antypodach protestu przeciwko brutalności świata i pochwały jego istnienia.

W 1928 r. z inicjatywy Towarzystwa Miłośników Książki oraz Koła Związku Bibliotekarzy Polskich we Lwowie ukazała się *Bibliografia polskich druków lwowskich XVI–XVIII w.* W tym zbiorowym opracowaniu Jadwiga Gamska-Łempicka dokonała rejestracji druków Biblioteki Baworowskich.

W 1928 r. uzyskała doktorat na podstawie rozprawy *Problem śmierci w dramacie polskim XVI i XVII wieku*. Promotorem jej pracy był wybitny profesor oraz autorytet środowisk naukowych, znakomity historyk i teoretyk literatury Juliusz Kleiner.

W latach 1927–39 współpracowała z redakcją „Gazety Lwowskiej” i „Słowa Polskiego”. Na łamach tych czasopism publikowała własne utwory oraz recenzje literackie, teatralne, felietony i artykuły. W tematyce artykułów ważną pozycję zajmują fascynacje autorki krajem lat dziecinnych w poezji Juliusza Słowackiego oraz te osnute wokół twórczości poetów związanych z Krzemieńcem.

W 1930 r. zawarła związek małżeński ze Stanisławem Łempickim (1886–1947), historykiem literatury, oświaty i kultury, profesorem Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, a później Uniwersytetu Jagiellońskiego.

W latach 1931–1936 w Lwowskiej Rozgłośni Polskiego Radia prezentowała felietony i prowadziła wieczory literackie. Przez cały ten czas tworzyła utwory poetyckie oraz z wielkim zapałem pracowała nad tłumaczeniami. W 1934 r. ukazały się kolejno: zbiór wierszy *Między niebem a ziemią* wydany przez Gubrynowicza oraz nakładem „Filo-

maty” przekłady *Hymnów średniowiecznych* ze wstępem Józefa Birkenmajera. Następnym tomikiem poezji *Okno na ogród* został wydany przez A. Krawczyńskiego w 1938 r. Zbiory te wzbudziły podziw i uznanie wielu publicystów i recenzentów, między innymi Eugeniusza Płomieńskiego. Szczególnie znacząca dla poetki była opinia krytyka literackiego Karola Wiktora Zawodzińskiego, który dostrzegł niezwykle talent poetki autorki i powagę tematyki, a była nią śmierć, nicomość i klęska człowieczeństwa. Zwrócono również uwagę na tłumaczenia – jako na przedsięwzięcie ambitne i nader trudne, a w którym wykazała się poetka wielką erudycją.

W 1939 r. Towarzystwo Straży Mogił Polskich Bohaterów we Lwowie edytowało jubileuszowy *Przewodnik po Cmentarzu Obrońców Lwowa*. Do publikacji tej skomponowała poetka piękny i wzruszający liryk *Dwa miasta*. Ten kunsztowny pod względem poetyckiego kształtu wiersz odzwierciedla uczucia najmłodszego pokolenia poległych Polaków oraz ich wiarę w sens walki i złożenia życia na ołtarzu ojczyzny.

Wojnę i okupację przeżyła Gamska-Łempicka we Lwowie. Spod jej pióra wyszło wówczas wiele emocjonujących tekstów patriotycznych. Ukazywały się one w prasie podziemnej oraz były recytowane na tajnych spotkaniach literackich. W drugim numerze pisma „Sprawy Narodu” w sierpniu 1943 r. ukazał się znamienity wiersz autorki *Nad grobami polskimi w Katyniu*. Ponadto należy podnieść rolę takich tytułów jak: *Herakles*, *Bez rany*, *Pieśń Majowa*, *Piosenka Wielkanocna*, *O Podbicię lwowskim*, *List na poste restante*, *Modlitwa do Świętych*, *Do żołnierzy polskich na emigracji*, *My, którzyśmy nie poszli na wojnę*, *Lwowska kolęda z 1943 roku* i *Final*. Część z tych utworów została wydana w dwóch zbiorowych bezimiennych antologiach konspiracyjnych. Pierwszą z nich *Wierne płomienie* opracowała Stefania Skwarczyńska w 1943 r., a drugą *Śpiew wojny* w 1944 r. Współredagowała z Miroslawem Żuławskim. Opublikowane w zbiorach wiersze są pełne patosu, a ich tematyka skupia się wokół traumatycznych doświadczeń, okrucieństwa i grozy wojennej rzeczywistości. Ówczesne pokolenie porównywało wartość tych tekstów z wierszami Krzysztofa Kamila Baczyńskiego. O ich randze świadczy również fakt, że

zostały przedrukowywane w prasie londyńskiej i włoskiej (Bari).

W latach 1943–44 pisała Gamska-Łempicka esej *Moje miasto*. W pamiętniku tym Przemyśl, jej „kraj lat dziecińczych”, wzbudza uczucia czyste i silne, do tego stopnia, że urasta do symbolu miejsca ukochanego i idealnego.

W lipcu 1945 r., przymusowo przesiedlona ze Lwowa w ramach akcji ekspatriacyjnej, przyjechała do Krakowa. Tam doświadczyła poważnych problemów zdrowotnych męża. Głęboko zaniepokojona tym faktem, otaczała go szczególną opieką. Angażowała się również w jego pracę naukową. Po dwóch latach mąż umiera, a poetka podejmuje starania, aby przygotować do edycji jego dorobek twórczy. Dzięki jej wysiłkowi i zaangażowaniu ukazują się następujące dzieła profesora Stanisława Łempickiego: *Wspomnienia ossolińskie* (Wrocław 1948), *Renesans i humanizm w Polsce* (Warszawa 1951), przekład *Wybór poezji* H. Heinego (Wrocław 1951). Przygotowała również do druku autobiograficzną opowieść *Złote paski* (Warszawa 1957).

Po śmierci męża przez krótki czas pracowała w zarządzie Polskiej Akademii Umiejętności, a od sierpnia 1948 r. w Krakowskim Oddziale Wydawnictwa Zakładu Narodowego im. Ossolińskich w redakcji Biblioteki Narodowej. Postrzegana była jako osoba skromna, bardzo pracowita, sumienna i obowiązkowa. Z wielką pasją i dużym już doświadczeniem zajmowała się twórczością przekładową, szczególnie uznanie zyskały jej tłumaczenia dzieł Heinego i Goethego. W recenzji Juliusz Kleiner konstatuje *Teksty w tłumaczeniu dużej miary poetki Jadwigi Gamskiej-Łempickiej wypadły świetnie. Wyczuwa ona subtelnie walory oryginałów, co dało poetce polskiej sposobność wirtuozowskiego popisu. Zastępuje na podziw artyzm każdego z przekładów.*

W 1953 r. dokonała poprawek do translacji *Hernaniego* Karoliny Wągrowskiej, dostosowując tekst dramatu W. Hugo do nowego wydania.

W *Wyborze poezji* J.W. Goethego (Wrocław 1955) znalazło się 30 przekładów autorstwa Gamskiej-Łempickiej. Z jej inicjatywy powstała również *Niemiecka ballada romantyczna* (Wrocław 1963) opracowana przez Zofię Ciechanowską.

**Jadwiga Gamska-Łempicka**

## *Dwa miasta*

*W mieście Umarłym, w zmierzch i rano  
przywarowani w rząd u bram,  
wartę pełnimy nieprzerwaną  
za Miasto Żywe, dane – wam.*

*Ten szereg mogił, co w mgłach drzemie,  
wtulony w drobne – palce traw,  
to nasze – lwowskie – akademie –  
To szereg naszych szkolnych ław!*

*Masz polski mundur dziś, kadecie?  
W polskiej ci mowie rozkaz padł?  
Jam za twój mundur – na bagnecie  
pierś jak czerwony rozdarł szmat.*

*Czytasz, kolego, w starych kartach,  
ważysz w swej myśli mądrość ksiąg?  
Twa księga – jeszcze nie otwarta –  
z moich zmiażdżonych padła rąk...*

*Patrzysz w zachwycie, na kolanach,  
w swój twór, wstający w słońca skrach?  
Jam za tę chwilę skonał w ranach,  
a oczy moje zamknął – piach...*

*Grzmą pieśni wasze, huczy mowa,  
tryska studencki, ukośny śmiech –  
za nasze, w gardła wbite słowa!  
Za naszą – w bruki wsiąknięta krew.*

*Z grud mogił naszych wasze domy,  
wasz wawrzyn – w naszych trumnach tkwi!  
A pieczętuje wam dyplomy  
rektorat nasz – sygnetem krwi.*

*W mieście Umarłym, w skwar i w chłody,  
patrzący Bogu twarzą w twarz,  
za żywe Miasto Polski młodej  
pełnimy wieczną, hardą straż...*

Przez cały ten czas tworzyła własne teksty poetyckie, ale pomimo usilnych starań nie zdołała w rzeczywistości PRL-u wydać żadnego tomiku swoich wierszy. Pochodna tej sytuacji, a także poczucie pustki i osamotnienia przyczyniły się do coraz częstszych stanów apatii, przygnębienia i depresji.

We wrześniu 1955 r. przybyła z krótką wizytą do Przemyśla, jej pobyt tutaj był swoistym pożegnaniem z ukochanym miastem. Choroba poetki ciągle się nasilała, a w okresie świąt Bożego Narodzenia przybrała szczególnie ostry charakter. Zmarła śmiercią samobójczą 9 I 1956 r. Jej ciało spoczywa obok męża na Cmentarzu Salwatorskim w Krakowie.

W spuściźnie literackiej pozostawiła przygotowane do druku trzy tomy poezji: *Słowa dla ludzi*, *Wiersze najkrótsze* i *Tym co kochali* oraz dramat *Księżyc w pełni*, a także opracowaną wspólnie z mężem dużą antologię *Pieśń narodowa polska*. Rok po śmierci poetki z inicjatywy jej przyjaciół wydawnictwo „PAX” opublikowało tomik *Słowa dla ludzi*. Z kolei w 1969 r. w 1. tomie *Z dziejów kultury i literatury ziemi przemyskiej* Stefania Kostrzewska-Kratochwilowa zaprezentowała również utwory Gamskiej-Łempickiej. Publikacja ta zawiera wiersze wybrane z całego dorobku poetki, zarówno te już edytowane, jak i te, które ukazały się po raz pierwszy. W zbiorze tym zamieszczono również wspomnienia autorki *Moje miasto*.

Jadwiga Gamska-Łempicka nie wzbijała się na wyżyny naszej literatury ani pod względem edycji dzieł, ani opracowań filologicznych czy historycznoliterackich. Obecnie pojedyncze teksty poetki można jedynie odnaleźć w okolicznościowych antologiach poezji religijnej. Należy ubolewać, że cień ciągle osłania twórczość poetki, i żywić nadzieję, że utwory te doczekają się nowych edycji, gdyż warto ocalić je od zapomnienia. Zasługują na to zarówno pod względem treści, jak i poetyckiego kształtu. Ponadto głęboko zakorzenione w tradycji i historii, podejmują ciągle aktualną tematykę. Ten uniwersalny charakter tekstów wynika z faktu, że są one świadectwem zmagania się człowieka z losem, własnymi pragnieniami i lękami, cierpieniem fizycznym i duchowym, przemijaniem, śmiercią. Są również przejawem fascynacji Bogiem, przyrodą i pięknem świata.

Redakcja zrezygnowała z przypisów.

Krzysztof Bulzacki

# Mały Świątek

Od Autora: *Kiedy wydałem książkę pt. „Zawsze wierni Tobie, Polsko” Andrzej Chlupalski, redaktor kwartalnika „Cracovia–Leopolis” napisał: Krzysztof Bulzacki, zapamiętały lwowiak i działacz TML-owski w Jeleniej Górze, postać niezwykle barwna i sympatyczna (choć czasem denerwuje, ale ostatnio zdarza mu się to rzadziej!), wydał świetną książkę pod nieco pompatycznym... lecz adekwatnym do treści tytułem „Zawsze wierni Tobie, Polsko” (wyd. TMLiKPW, Jelenia Góra 1999) ... K. Bulzacki, inżynier z zawodu, ma ogromną erudycję i czytanie. I zapach. A z jego talentów pewnie nie raz skorzystamy.*

Myślę, że podobnie ma się sprawa tytułu tego artykułu.

Sięgam po książkę Stanisława S. Niciei *Cmentarz Łyczakowski we Lwowie* i czytam: *Lewicka z Lewickich Anna (1852–1932), literatka, redaktorka, działaczka społeczna, nauczycielka na pensji Wiktorii Niedziałkowskiej, z własnych funduszy wydawała pismo dla dzieci pt. „Mały Świątek”, którego celem było wychowywanie dzieci w duchu patriotycznym i obywatelskim.* Sięgam więc na półkę po roczniki „Małego Świątka”.

„Mały Świątek” – tygodnik ilustrowany dla dzieci i młodzieży – format nieco większy od A4. W latach kryzysu wydawano trzy lub dwa numery. Pod okupacją rosyjską pismo zostało zawieszono. W 1919 roku wydawano rocznik XXXI. Nie wiem, czy był to ostatni rok edycji pisma, ale wystarczy, by ocenić wartość pracy Anny Lewickiej.

Treści zawarte w piśmie kształtowały wszechstronnie umysłowość i wrażliwość dziecka. Znani powszechnie autorzy: Henryk Sienkiewicz, Aleksander Czołowski, Maria Dąbrowska i wielu innych – w artykułach, w powieściach drukowanych w odcinkach, w opowiadaniach, nowelach, obrazkach scenicznych do użytku domowego – przedstawiali obszerne wiadomości z historii Polski i innych krajów, historie miast polskich i zam-

ków, opisy geografii Polski i całego świata z opisami przyrody, informacje o najnowszych wynalazkach i ich twórcach.

Szczególną uwagę poświęcono wybitnym postaciom zasłużonym dla Polski: polskim królom, Stefanowi Czarnieckiemu, Tadeuszowi Kościuszce, księciu Józefowi Poniatowskiemu, Janowi Henrykowi Dąbrowskiemu, Marianowi Langiewiczowi, Zygmuntowi Podlewskiemu, Stanisławowi Mońcuszce, ale także współczesnym: Feliksowi Nowowiejskiemu (autorowi melodii „Roty” Konopnickiej), Ludwikowi Kubali, Henrykowi Sienkiewiczowi, Tadeuszowi Rutowskiemu, Józefowi Piłsudskiemu, Władysławowi Bełzie, Henrykowi Wieniawskiemu oraz zapomnianym dziś: Wiktorii Niedziałkowskiej, Michalinie Zielińskiej, Jadwidze Zubrzyckiej i innym.

W piśmie były drukowane wiersze wybitnych poetów, a wśród nich: Juliusza Niemcewicza (*Śpiewy historyczne*), Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego (m.in. *Sowiński w okopach Woli*), Mieczysława Romanowskiego (poety, który zginął w Powstaniu Styczniowym), liczne wiersze Marii Konopnickiej, Władysława Syrokomli, Teofila Lenartowicza, Kornela Ujejskiego (*Z dymem pożarów, Pogrzeb Kościuszki*), Wincentego Pola, Władysława Bełzy (*Katechizm dziecka – Kto ty jesteś? – Polak mały, Do polskiego pacholecia, Dla polskich dzieci*), Or-Ota Artura Oppmana oraz zupełnie dziś zapomnianych: Józefa Botorowicza, Heleny Bronowskiej, Wandy Dąbrowskiej, Seweryny Duchlińskiej, Wiktorii Hozerowej, K. Laskowskiego, Jadwigi Lewickiej, Marii Majchrowiczówny, Zofii Mrozowskiej, Adama Pługa, Stanisława Rossowskiego, Zofii Strzetelskiej, Stanisława Stwory, Kazimierza Świerka, J.A. Teslara – legionisty, Anny Zielińskiej, Jerzego Żuławskiego.

Pismo było bogato ilustrowane, wśród ilustracji znajdowały się obrazy najwybitniejszych polskich malarzy (Jana Matejki, Kossaków, Artura Grottgera i innych) oraz nuty wielu pieśni (m.in. poloneza Ogińskiego *Pożegnanie ojczyzny*).

Wśród licznych darczyńców popierających wydawanie pisma znajdujemy nazwiska znanych osobistości, choćby tylko wymienić prof. Juliusza Kleinera, dra Karola Zagajewskiego – dziadka poety Adama Zagajewskiego, Gizelę Ochęduszkę –

matkę przyszłych profesorów: Stanisława i Kazimierza.

Te wybitnie patriotyczne treści zawarł w „Małym Świątku” – po ukazaniu się artykułu *W pięćdziesiąt rocznicę powstania* (Powstania Styczniowego) oraz obrazka scenicznego *W noc zimową*, w którym padło hasło: *Co nam obca przemoc wzięła, mocą odbierzemy* – spowodowały na rozkaz króla Prus Wilhelma II wytoczenie procesu sądowego. Sąd Krajowy w Poznaniu, Izba Karna Królewskiego Sądu Krajowego, dyrektor Ehrenberg, radca Magener, sędziowie i adwokaci uznali słuszną obawę, budzącą zagrożenie spokoju państwa pruskiego i 17 marca 1913 r. wydali wyrok konfiskaty pisma na dwa lata. Zniszczono cały nakład wysłany do Poznania.

Anna Lewicka zabrała głos w tej sprawie i napisała w „Małym Świątku”: *Łupieżcy i rabusie (Prusacy) cudzego mienia nigdy spokoju mieć nie mogą ... przyjdzie chwila, w której zmuszeni będą oddać rzecz zagrabioną, wynieść się z cudzego domu, iść precz z przywłaszczonej ziemi*. Tak napisała Anna Lewicka w tym polskim mieście Lwowie, znajdującym się wtedy jeszcze pod zaborem austriackim. Nie można się dziwić, że cesarz Austrii i król Węgier Franciszek Józef, obojętny wobec wyroku pruskiego, otoczony był powszechnym szacunkiem (żył 87 lat, panował na tronie 68 lat, zmarł 15 listopada 1916 r. *Był to monarcha mądry, sprawiedliwy, prawdziwy Ojciec Ludów*.)

„Mały Świątek” zaś wypełnił się obrazem *polskiego żołnierza, pieśnią narodową, ... a nade wszystko miłością i ofiarą bijących dla Ojczyzny serc jej dzieci*.

A Or-Ot dopisał:

*Boże, zginęli od kuli Moskali  
Za to, że Ciebie i Polskę kochali,  
Gdzie są ich groby? Polsko! Gdzie ich  
nie ma?*

Gdy postowie ukraińscy do parlamentu w Wiedniu postulowali podział Galicji na zachodnią – polską i wschodnią – ukraińską, Anna Lewicka przypominała w „Małym Świątku” zapis Nestora, ruskiego kronikarza, który podał, jak to w 981 roku książę ruski Włodzimierz I zajął polskie grody czerwieńskie. Ziemia Lwowska jest ziemią polską, do której tylko Polacy mają prawo.

Wiele uwagi poświęcono szczególnie ważnym wydarzeniom, jak na przykład 350-lecie Unii Lubelskiej, uroczystościom rocznicowym Powstania Styczniowego z udziałem weteranów, których w tym czasie było we Lwowie około dwustu, wśród nich Józef Janowski, sekretarz Rządu Narodowego. Następnie powstaniu skautingu – harcerstwa polskiego (zjazd skautów 1 lipca 1913 r. w Anglii z udziałem 46 Polaków), Traktatowi Brzeskiemu z 9 lutego 1918 r., w którym Niemcy podarowali Ukrainie Ziemię Chełmską i Podlasie, organizacji „Ratujmy polskie dzieci”, związanej z głodem w czasie wojny, polskości Śląska, w szczególności Śląska Zaolziańskiego. To wszystko w celu wychowywania dzieci w duchu polskiego patriotyzmu.

Wśród prenumeratorów „Małego Świątka” oprócz wymienionych już dzieci (Ochęduszków) był syn generała – Tadzio Rozwadowski, znani powszechnie Longchampsowie oraz dzieci polskie z Wiednia, Gdańska, a nawet z Kaukazu.

---

ANNA LEWICKA, z d. Lewicka (1852 Lwów – 1932 Lwów, cm. Łyczakowski), literatka, redaktorka, działaczka społeczna. Córka zamożnego przemysłowca lwowskiego, lecz po śmierci matki wychowana przez ciotkę i jej męża Jana Wierczyńskiego, zamożnego kupca, wiceprezydenta Lwowa, w rodzinie o tradycjach patriotycznych. Kształciła się na pensji i w seminarium nauczycielskim; podjęła pracę w Stanisławowie. Tam wyszła za mąż za Feliksa Lewickiego, b. powstańca styczniowego, dziennikarza. Razem wydawali „Echo Pokucia”. Po śmierci męża osiadła we Lwowie, podjęła pracę nauczycielską na pensji W. Niedziałkowskiej. W 1887 r. rozpoczęła wydawanie własnym kosztem pisma dla dzieci „Mały Świątek”. Celem było wychowanie w duchu patriotycznym i obywatelskim, pismo zyskało dużą popularność. Po paru latach zaczęła wydawać dodatki dla dzieci młodszych i starszych. W 1913 r. zamieściła swój artykuł, w którym głosiła ideę walki zbrojnej o niepodległość, co spowodowało konfiskatę pisma w zaborze pruskim. W 1918 r. w swoim mieszkaniu założyła drukarnię, gdzie wydawała „Głos Polski”, ulotki i odezwy. W 1920 r. z braku środków przekazała wydawnictwo „Małego Świątka” do Poznania, a podjęła własną twórczość piśmianską dla dzieci i młodzieży, gdzie łączyła hasła pozytywistyczne z tradycjami romantycznymi. Od 1922 r. wydała wiele książek o tematyce przyrodniczej i geograficznej, biograficzno-historycznej, popularno-naukowej.

---





CZASOPISMO ILLUSTROWANE  
 DLA DZIECI I MŁODZIEŻY  
 WYCHODZI 1<sup>00</sup> I 15<sup>00</sup> W MIESIĄCU.

Przez cały miesiąc nie mógł dotrzeć do wasz wasz „Mały Świątek”, bo przez 3 tygodnie Lwów odcięty był od całego świata, i to nie tylko na zewnątrz, ale nawet wewnątrz.

Pod karą śmierci nie wolno było przejść z jednej części miasta do drugiej a często nawet z jednego domu do drugiego. Leżał więc wasz numer z 1-go listopada w drukarni, bo z drukarni do redakcji dostawić go nie było można. Gdy pierwszych pięćset numerów niósł służący do redakcji, kula mu śwignęła przed oczyma, zawrócił więc i do 1-go listopada wydostać go nie mogliśmy — a że

karnie były nieczytane, że zamknięto je przed zniszczeniem, że robotnicy drukarniani nie mogli się dostać z swych mieszkań do pracowni, więc w ciągu tych strasznych trzech tygodni nie mogliśmy przygotować następnego numeru. Potem zniszczono dodatkowo urzędy pocztowe nie mogły go wysłać, a że znaczków pocztowych niema, więc aby móc wysłać numer z 1-go grudnia wstrzymaliśmy ekspedycję do 30-go i dziś dopiero wysyłamy obydwu numerów. Następnym numer wysyłem wam powiększony

## Lwów zd

Przez ten czas, gdy „Mały Świątek” nie dźił do was, Lwów przeżywał ciężkie, bardzo chwile — gorsze od tych, gdy napadali na Turcy, Tatarzy, Kozacy, cięższe aniżeli podziemia Moskali w roku 1914-ym, bo wówczas szły gromy tylko z po za miasta, a teraz bito wewnątrz i wewnątrz miasta szalała dzień bez przestanku straszna burza armatnia i karab. A po tych dniach okropnych, jako smutna państwo zniszczone, spalone gmachy i sterzą groby a szpitale pełne są rannych.

„Mały Świątek” nie będzie wam pisał o co się tu działo w owych długich, strasznych nocy, nie będzie wam opisywał pełnych grozy rzeń, opowie wam tylko o szlachetnych czynach haterskich wysiłkach i usługach jakie w tych ciężkich spalinia młodsza część młodzieży — dwie z dzieci wyrosła — a nawet i dzieci.



1903

nr. 50

Proszę, nie  
wizytować  
książek.



CZASOPISMO ILLUSTROWANE  
 DLA DZIECI



04612



Panorama grobu Chrystusa – obraz na płótnie pędzla Tadeusza Popieła z 1911 r.  
Do II wojny w kościele oo. Bernardynów we Lwowie, po wojnie w Krakowie

## *Z okazji Wielkiej Nocy 2014 roku*

*wszystkim naszym Czytelnikom, Autorom i Współpracownikom oraz Sympatykom  
składamy serdeczne życzenia Błogosławieństwa Zmartwychwstałego.*

*Jezu Chryste, miej nas w Swej Boskiej Opiece.*

*Zmiłuj się nad naszą opuszczoną Ziemią Rodzinną, nad pozostałymi na niej Rodakami  
i nad tymi, którzy nie ze swej woli rozproszyli się po wszystkich stronach świata.*

*Boże, miej w opiece Polskę, Europę i cały Świat. ALLELUJA!*

## *Życzenia Ormiańskie*

*Z okazji nadchodzących Świąt Wielkanocnych Ksiądz Tadeusz Isakowicz-Zaleski  
nadesłał nam ormiańskie życzenia:*

*KRISTOS HARIAW I MERRELOC, ALLELUJA!  
ORHNIALE HARUTIUN KRISTOSI, ALLELUJA!*

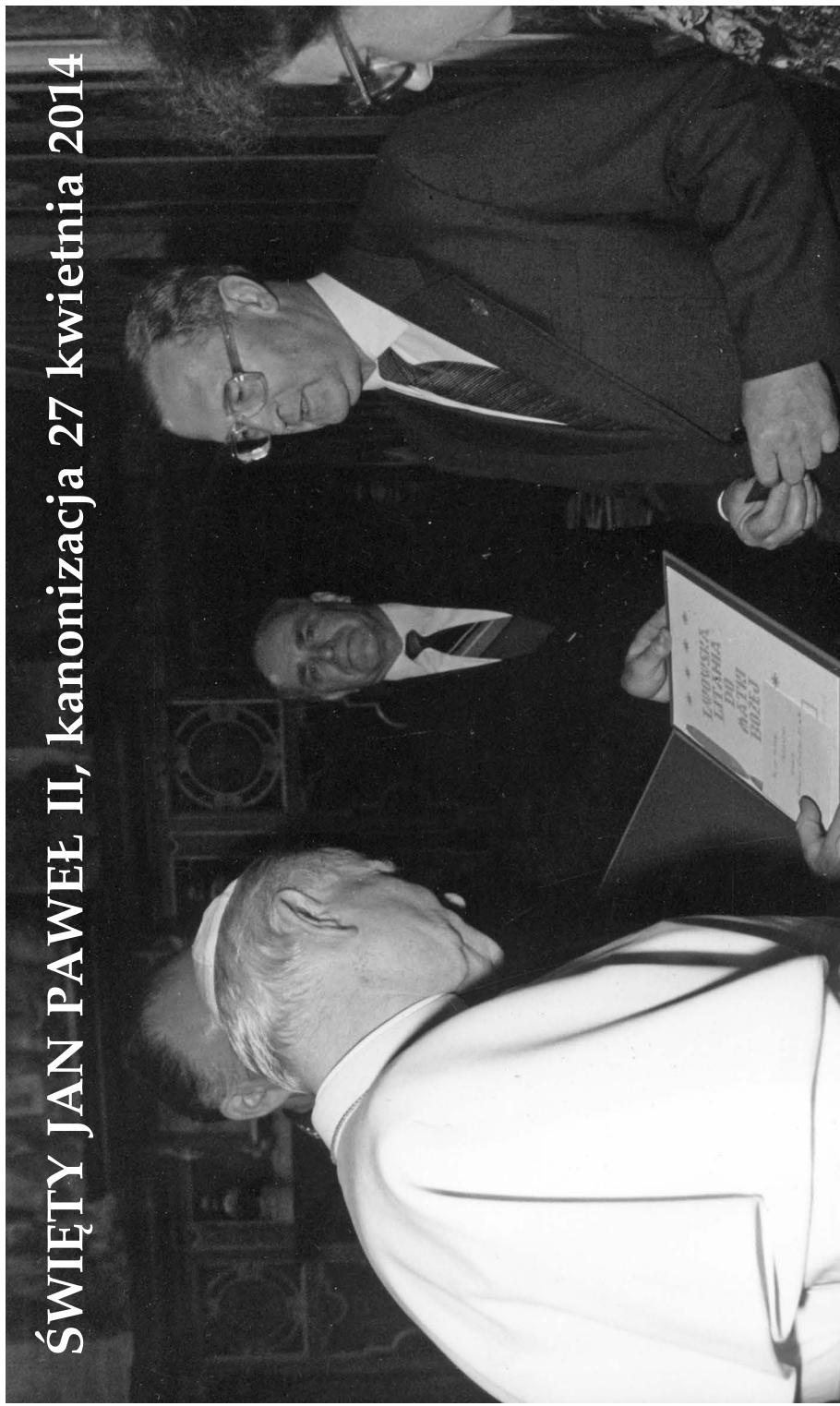
*Chrystus zmartwychwstał, Alleluja!*

*Błogosławione Zmartwychwstanie Chrystusa, Alleluja!*

*Droгим Przyjaciołom życzę z głębi serca dobrego i owocnego przeżycia Triduum Paschalnego i oktawy SURB ZATIK – Zmartwychwstania Pańskiego. Życzę też wszelkich łask Bożych dla Waszych Rodzin. Także Braciom Kapłanom składam najserdeczniejsze życzenia z okazji Wielkiego Czwartku.*

*SHNORHAVOR SURB ZATIK!  
Błogosławionych Świąt Wielkanocnych!*

# ŚWIĘTY JAN PAWEŁ II, kanonizacja 27 kwietnia 2014



Na zdjęciu wykonanym przez Arturo Marięgo w Watykanie w roku 1988: pan Stanisław Skarbiński z Oddziału Krakowskiego TMLIKPW wręcza Papieżowi naszą Lwowską Litanię do Matki Bożej

# Z profesorem Andrzejem Nikodemowiczem rozmawia Janusz M. Paluch



**Panie profesoro, pochodzi pan z kresowej rodziny z tradycjami. Prof. Stanisław Nicieja jakże pięknie opowiada w swej *Kresowej Atlantydzie* o Marianie Nikodemowiczu – pana ojcu.**

Nasza rodzina ma korzenie polsko-rusińsko-ormiańskie. Mój ojciec, Marian Nikodemowicz, był wybitnym architektem. Nie pochodził ze Lwowa, urodził się na Podolu, w miejscowości Mielnica. Ojciec wychowywał się jako półsierota. Mój dziadek był urzędnikiem, zmarł bardzo wcześnie, w wieku czterdziestu kilku lat, na skutek skrętu kiszki. Ojciec miał wówczas ok. 6 lat. Gimnazjum ukończył w Brzeżanach, a potem we Lwowie studiował na politechnice. Już na uczelni wykładowcy zauważyli jego talent i zdolności, dzięki czemu był znanym i cenionym studentem. Od razu po ukończeniu studiów otrzymał szereg interesujących propozycji pracy. Mama Helena, z domu Dołżańska, nie pracowała, zajmowała się domem. Było nas trzech braci. Najstarszy – Eugeniusz, starszy ode mnie o prawie 9 lat, drugi – Aleksander, starszy ode mnie o półtora roku. Eugeniusz został lekarzem, skończył medycynę we Lwowie. Niestety już

nie żyje. Aleksander mieszka w Krakowie, jest architektem, profesorem Politechniki Krakowskiej im. Tadeusza Kościuszki.

We Lwowie mieszkaliśmy najpierw na ul. Zdrowie. Naprzeciw naszego domu była fabryka wody sodowej „Zdrowie”. Wszyscy urodziliśmy się w tym mieszkaniu. W 1938 r. przeprowadziliśmy się na ul. Potockiego do nowej, zaprojektowanej i wybudowanej przez ojca trzypiętrowej kamienicy, która była owocem jego długoletniej pracy zawodowej. Radość nie trwała długo, bo w 1939 r. wybuchła II wojna światowa i zaczęły się trzy kolejne koszmarne okupacje. Miałem wtedy 14 lat. Pierwsza okupacja sowiecka trwała półtora roku. Na szczęście naszej rodziny nie dotknęły aresztowania i wywózka w głąb Rosji.

**W czasie wojny był pan organistą w klasztorze ss. Karmelitanek...**

Mieszkaliśmy wówczas niedaleko tego klasztoru. W kościele przyklasztornym nie było organów, tylko fisharmonia. Grał na niej jeszcze przed wojną organista, pan Gumienny. Kiedy przyszli we wrześniu 1939 r. sowieci, pan Gumienny rozpoczął inną pracę, która uniemożliwiała mu granie podczas mszy świętych i nabożeństw. Zacząłem go zastępować. Trwało to tylko w czasie pierwszej okupacji sowieckiej. Później, od 1944 r., jak wszyscy Polacy powyjeżdżali ze Lwowa, grałem w kościele św. Marii Magdaleny. Wtedy wszystkie kościoły były już zamknięte i chodziliśmy na msze święte do tego kościoła. Ponieważ nie miał kto grać, zacząłem pełnić tam rolę organisty aż do zamknięcia kościoła przez władze sowieckie w 1962 r.

**Wróćmy jednak do czasów okupacji...**

W czerwcu 1941 r. przyszła okupacja niemiecka. Niemcy wkrótce po zajęciu Lwowa wyrzucili nas z domu, a cały rejon ulic Potockiego i Czwartaków został przejęty przez gestapo, urządzono tam *Bezirk*, zamknięty rejon. Tuż przed samym Bożym Narodzeniem dostaliśmy dwa dni na wyprowadzenie się. Oczywiście nie dostaliśmy żadnego lokalu zastępczego. Tułaliśmy się po Lwowie po znajomych i krewnych. Nie mieliśmy wtedy stałego miejsca pobytu.

Polskie szkoły zostały zamknięte. Zapisaliśmy się wówczas do zawodowej szkoły rzemieślniczej, a po roku do 2-letniej, rów-

niez zawodowej, szkoły chemicznej. Równocześnie zatrudniłem się w Instytucie Bakteriologicznym prof. Weigla jako karmiciel wszy. Instytut ten bowiem produkował dla armii niemieckiej szczepionkę przeciwtyfusową opartą na preparacie pozyskiwanym z karmionych ludzką krwią wszy. Praca w Instytucie skutecznie chroniła przed łapankami i wywózką do Niemiec do przymusowej pracy. W ten sposób w Instytucie chronili się masowo Polacy. M.in. zatrudniony tam był wybitny poeta Zbigniew Herbert oraz znany polski pianista i kompozytor Zbigniew Szymanowicz.

W 1944 r. zaskoczyła nas ponowna okupacja sowiecka. Mieszkaliśmy wtedy w okolicach politechniki. Władze sowieckie pozwoliły nam wrócić do rodzinnego domu przy ul. Potockiego 76 dopiero w 1948 r. (wtedy nie była to już ulica Potockiego, ale Puszczyńska, a obecnie gen. Czupryński). Sowieci nie znacjonalizowali od razu naszego domu, uznając, że jest to dorobek całego życia naszego ojca, wynikający z pracy jego rąk, nie zaś z wysiłku. Ojciec zmarł w 1952 r., mama w 1959 r. Dopiero po śmierci rodziców kamienica została znacjonalizowana, a ja ze swoją rodziną do schyłku lat 70. mieszkalem w niej na pierwszym piętrze jako lokator płacący państwu sowieckiemu czynsz za najem lokalu.

#### **Bracia pana profesora opuścili Lwów. Kiedy to było?**

Eugeniusz wyjechał jeszcze w 1946 r., zanim wróciliśmy we Lwowie do własnego domu. Nie zdążył ukończyć studiów medycznych przed wojną. Dopiero w czasie pierwszej okupacji sowieckiej otrzymał dyplom ukończenia medycyny. Po studiach został skierowany do pracy na Wołyniu, do wsi Diatkiewiczze koło Równego. Tam przeżył ukraińską rzeź na Polakach. Udało mu się stamtąd wyrwać i przenieść w okolice Tarnopola, do wsi Jezierna. W międzyczasie założył rodzinę. W 1944 r. przeniósł się jeszcze na krótko do Lwowa. Po wyjeździe do tej nowej Polski (już w ramach ekspatriacji) najpierw osiadł w Łańcucie, gdzie pracował w szpitalu, a od 1952 r. rozpoczął pracę w krakowskiej Akademii Medycznej, gdzie pod kierunkiem prof. Hornunga, też lwowianina, zdobywał specjalizację z zakresu fizjologii i pulmonologii. Drugi brat,

Aleksander, wyjechał nieco później do Krakowa, aby kontynuować zaczęte studia na wydziale architektury, ponieważ wydział ten został na politechnice lwowskiej zawieszony. Po wyjeździe braci do PRL ja zostałem z rodzicami we Lwowie, gdzie miałem możliwość studiowania. Potem podjąłem pracę w konserwatorium. W tym okresie założyłem rodzinę, wkrótce urodziły się nam dzieci – Jaś i Małgosia. Nie mogłem narzekać na życie w ukochanym Lwowie, choć nie była to już Polska. Jako ciekawostkę dodam, że moja żona Kazia była córką mojego pierwszego nauczyciela ze szkoły powszechnej Adama Grabowskiego. Ale kiedy chodziłem do pierwszej klasy, nie przypuszczałem, że uczy mnie mój przyszły teść. Z Kazią przeżyliśmy w szczęśliwym małżeństwie 44 lata.

#### **Dlaczego nie wyjechaliście wtedy ze Lwowa całą rodziną?**

Nie wierzyliśmy, że ta druga okupacja sowiecka zostanie na dłuższe lata. Wciąż była nadzieja, że Lwów wróci do Polski. We Lwowie było nasze życie, nasza przeszłość. Piękna kamienica, dom rodzinny, w którym tak krótko mieszkaliśmy. W końcu po kilku latach, kiedy nadzieja na powrót Lwowa do Polski znikła, ojciec zdecydował się też na opuszczenie Lwowa. Podjął nawet wstępne starania o wyjazd. Była to bardzo trudna decyzja. Mieszkaliśmy przecież we własnym domu, który on sam wybudował. Była to praca całego jego życia! Kiedy w końcu się zdecydował, ciężko zachorował, w 1950 r., miał wylew krwi do mózgu i o wyjeździe nie mogło być już mowy. Zmarł w 1952 r., pochowany jest na cmentarzu Janowskim.

Jeszcze w 1944 r. rozpocząłem studia w lwowskim konserwatorium na wydziale kompozycji i równocześnie na politechnice lwowskiej na wydziale chemicznym. Studia chemiczne przerwałem po dwóch latach, koncentrując się na studiach muzycznych.

#### **Czy to nie zastanawiające? Ojciec architekt, bracia – jeden lekarz, drugi architekt, a pan profesor – wprowadzie niedoszły chemik – muzyk. Ale za to jaki!**

Naukę muzyki rozpocząłem dość wcześnie. W wieku siedmiu lat rodzice zapisali mnie na prywatne lekcje fortepianu. Moją pierwszą nauczycielką była lwowska pianistka Nadia Biłeńska-Ławrowska, a następnie

znany lwowski pianista ukraiński Roman Sawicki. Naukę tę jednak przerwał wybuch wojny w 1939 r. Po wkroczeniu do Lwowa sowieci mogli ją jeszcze krótko kontynuować, ale po wkroczeniu Niemców takiej możliwości już nie było. I dopiero w 1944 r. mogłem ponownie podjąć studia muzyczne w otwartym wtedy konserwatorium.

Moja miłość do muzyki narodziła się już we wczesnym dzieciństwie. Obaj starsi bracia grali na fortepianie, wtedy też poznawałem muzykę wielkich kompozytorów. Nad moją edukacją muzyczną czuwał stale mój najstarszy brat Eugeniusz. On też pierwszy pchnął mnie na tory twórczości muzycznej, sam również próbował swoich sił w tym kierunku. Kiedy więc podjąłem studia w konserwatorium, była to kompozycja, tym bardziej że grać w tym czasie nie mogłem, ponieważ poprzednio przez zbyt intensywne ćwiczenie przemęczyłem ręce. Był to okres tzw. repatriacji, a ściślej mówiąc ekspatriacji ze Lwowa, w wyniku której Polacy masowo opuszczali Lwów. W konserwatorium pozostało tylko dwóch profesorów Polaków: Adam Sołtys i Tadeusz Majerski, którzy z powodów rodzinnych nie opuścili Lwowa. Miałem to szczęście, że właśnie u nich mogłem odbyć studia. Adam Sołtys, któremu wiele zawdzięczam, został moim profesorem kompozycji. Pochodził z lwowskiej rodziny muzycznej. Ojciec jego Mieczysław był wybitnym muzykiem, kompozytorem, dyrygentem i dyrektorem konserwatorium przy Polskim Towarzystwie Muzycznym. Towarzystwo to korzeniami sięgało Galicyjskiego Towarzystwa Muzycznego, założonego jeszcze przez syna Wolfganga Amadeusza Mozarta – Ksawerego. Po śmierci Sołtysa-ojca dyrektorem konserwatorium został jego syn Adam. Po wejściu sowieci do Lwowa stracił on oczywiście to stanowisko, jego miejsce zajął ukraiński kompozytor Wasyl Barwiński. Adam Sołtys cieszył się jednak wielkim poważaniem i szacunkiem, był nadal profesorem uczelni. Był człowiekiem wielkiej kultury, bardzo delikatnym, cieszył się ogromnym autorytetem. Moje studia u niego przypadły na lata, kiedy ukazał się osławiony dekret Żdanowa<sup>1</sup> o formalizmie w sztuce. A Sołtys był prawdziwym artystą i nie mógł się z tym wszystkim pogodzić. Bolało go, że wszystkie nowocześniejsze kompozycje poddawano

surowej krytyce w duchu antypolitycznym. Były to czasy bardzo ciężkie dla artystów. Byłem wtedy na trzecim roku studiów kompozycji. Miałem też inklinacje do nowoczesnych wpływów, ale prof. Sołtys zawsze dyplomatycznie potrafił mnie bronić przed atakami krytyki. Chyba dzięki jego postawie jakoś szczęśliwie dokończyłem studia. Gdy byłem już po studiach, nawiązał ze mną bliskie kontakty prywatne, a gdy urodziła mu się córeczka Maria, poprosił mnie, abym został jej ojcem chrzestnym.

#### **Odnoszę wrażenie, że studia nie były dla pana takie gładkie...**

Rzeczywiście studiowanie pod politycznym prężerem wspomnianego dekretu o formalizmie i socrealizmie nie było sympatyczne. Dla przykładu krótko opowiem historię, jaką przeżyłem na IV roku studiów. Zgodnie z programem należało napisać kantatę z tekstem. Po dłuższych poszukiwaniach tekstu wybrałem utwór znakomitego rosyjskiego poety Sergiusza Jesienina, nie wiedząc o tym, że twórczość tego autora była wtedy na indeksie książek zakazanych. W tym czasie biuro partyjne zainteresowało się pracami wydziału kompozycji. Ponieważ utwór mój był już zaawansowany, nakazano mi zmienić tekst. Znalazłem amatora wierszokletę, który napisał mi tekst odpowiedni, ale bez żadnej poetyckiej wartości. Można go było dostosować do rozpoczętej już kompozycji i dzięki temu praca moja została zaakceptowana.

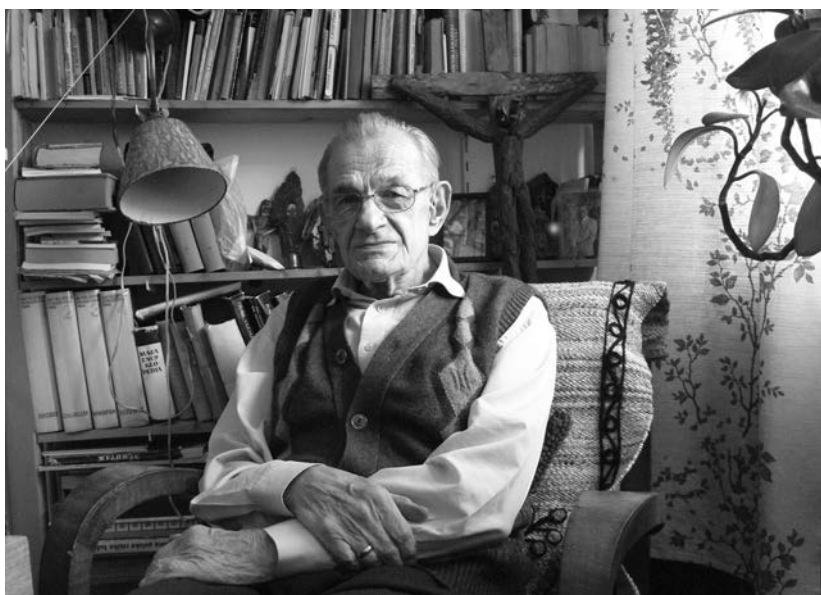
#### **Zapewne odwiedzał pan dom Sołtysów, który przed wojną był swoistym salonem artystycznym...**

Tak, ale dopiero po ukończeniu studiów. Prof. Adam Sołtys opowiadał mi o Karolu Szymanowskim, którego poznał osobiście, kiedy w 1927 r. dyrygował we Lwowie jego III Symfonią. Z tej okazji po koncercie wypili nawet *bruderszaft*. Przed wojną Adam Sołtys był centralną postacią życia muzycznego Lwowa, nie tylko jako dyrektor Konserwatorium Muzycznego, ale też jako dyrygent koncertów symfonicznych. Przed wojną, jeszcze jako chłopak, bywałem na tych koncertach. Pamiętam m.in. koncert, na którym śpiewała znana śpiewaczka Ewa Turska Bandrowska<sup>2</sup>.

#### **Nie mówiliśmy dotąd o prof. Tadeuszu Ma-**

werskim, którego wspominał pan na początku.

Z profesorem Majerskim zetknąłem się nieco później. Był już wtedy starszym panem, bardzo eleganckim i kulturalnym. Nie koncertował już jako pianista, był tylko pedagogiem i bardzo dobrym kompozytorem. Jemu zawdzięczam, że po chorobie rąk znowu zacząłem grać. Wprowadził mnie w tajniki nowoczesnej techniki, dzięki czemu mogłem powrócić do gry i zakończyć drugi – obok kompozycji – wydział fortepianowy ze specjalizacją koncertowego



wykonawcy. Prof. Majerski musiał być przed laty bardzo dobrym pianistą. Kiedyś wyznał mi, że niepotrzebnie w młodości pasjonował się pianistyką zamiast poświęcić się kompozycji, którą zajął się dopiero w późniejszych latach. Miał postępowe poglądy muzyczne, uważany jest za jednego z pierwszych dodekafonistów polskich. Interesował się nowymi kierunkami w muzyce, komponował też w modernistycznym stylu, co było bardzo niemiłe widziane przez sowietów. Ale pisał też utwory w umiarkowanym języku muzycznym. Pamiętam trzy wybitne utwory, które napisał właśnie w okresie, kiedy byłem jego studentem – *Koncert fortepianowy*, *Sonata wiolonczelowa* i *Kwintet fortepianowy*. Są to utwory bardzo dobre, chociaż utrzymane w stylu bardziej neoromantycznym. A pomimo to spotykały się z krytycznymi uwagami.

**Czy spotykaliście się tylko w relacji mistrz i uczeń?**

Początkowo tak. Ale później nawiązały się między nami bardzo przyjazne stosunki, podobnie jak z prof. Sołtysem. Prof. Majerski mieszkał blisko nas, przy ul. Modrzejewskiej. Bywał u nas w domu, przychodził na herbatki. Wtedy jeszcze żyła moja mama, przychodził też mój stryj Romuald. Były to bardzo miłe spotkania. Stryj Romuald był starszym, przyrodnim bratem mojego ojca. Warto tu wspomnieć, że był człowiekiem

wszeczhronnie uzdolnionym, posiadał wielkie zdolności manualne – potrafił samodzielnie, własnoręcznie zrobić wiele rzeczy, np. meble do swojego mieszkania, potrafił również uszyć swojemu synowi buty, szyć też np. koszule dla rodziny itd. Miał bardzo duże poczucie humoru, nieraz dawaliśmy się nabrać na jego kawały.

**Jak wyglądało życie artystyczne, kulturalne Polaków we Lwowie po wojnie.**

Nasze życie okupacyjne dzieliliśmy we Lwowie na dwa okresy: „za pierwszych sowietów” i „za drugich sowietów”. Podczas drugiej okupacji nastąpiła tzw. repatriacja i Polacy masowo opuszczali Lwów, pozostało kilkanaście rodzin. Przyjaźniliśmy się z rodziną profesora Politechniki Lwowskiej Wilhelma Mozera. Jedna z jego córek, Teresa, wyszła za mąż za Stanisława Adamskiego. Druga córka, Maria, poślubiła Józefa Jagiełłę – były to więc trzy rodziny. Przyjaźniłem się również z jednym z synów, Henrykiem, który był muzykiem – pianistą, studiował podobnie jak ja u prof. T. Majerskiego. Po pewnym czasie wyjechał do Polski, zamieszkał w Warszawie, gdzie został reżyserem teatralnym.

W tamtych czasach we Lwowie działało kilka osób, które zajmowały się dziećmi i młodzieżą, młodymi Polakami. Dbały o ich patriotyczne i religijne wychowanie. Były

to Zofia i Krystyna Panek, pani Maria Jarosiewicz – emerytowana gimnazjalna nauczycielka historii, pani Janina Fastnacht, siostry Irena i Jadwiga Zappé. Osoby te organizowały różne spotkania oraz urządzały wycieczki historyczno-krajoznawcze, np. do Kamieńca Podolskiego czy Krzemieńca. Braliśmy chętnie udział w tych wyjazdach. Urządzane też były wieczorki domowe. Najbardziej utkwiły mi w pamięci spotkania dzieci ze św. Mikołajem. Wieczorki te odbywały się każdego roku w innym domu.

Pamiętam jeden z nich, który odbywał się u nas w domu. Dzieci były jeszcze małe. Mieliśmy duże mieszkanie. Był dzień św. Mikołaja. Przyszła spora grupa polskich dzieci i młodzieży. Wszyscy zebrali się w jednym pokoju i oczekiwali na św. Mikołaja. Jak już wytworzył się odpowiedni nastrój, rozległ się dzwonek u drzwi i wkroczył Mikołaj, a z nim Anioł, ciągnący ogromny kosz prezentów. Najpierw św. Mikołaj wygłosił mowę do zebranych o tym, jak tu wędrował i w jaki sposób trafił. Pytał, czy dzieci były grzeczne. A one to wszystko strasznie przeżywały! Rolę św. Mikołaja odgrywał wtedy pan Marian Kołaziński (oczywiście Polak), który był śpiewakiem w Operze Lwowskiej. Miał piękny mocny głos i wspaniałą posturę fizyczną. Często śpiewał również jako solista w katedrze lwowskiej, skąd udało mu się wtedy wypożyczyć oryginalne szaty biskupie. Dla dzieci to było niesamowite przeżycie zwieńczone rozdawaniem prezentów. Miało to bardzo duże wychowawcze znaczenie.

#### **Czy organizowano też inne spotkania, np. literackie?**

Oczywiście były takie spotkania. Organizowała je głównie pani Zofia Panek. Jedno z takich spotkań miało szczególny przebieg, o czym warto opowiedzieć. Uczestniczyła w nim wtedy m.in. moja córka Małgorzata...

#### **Pani Małgorzato – zwracam się do córki prof. Nikodemowicza – proszę opowiedzieć o tym wydarzeniu.**

Było to spotkanie z księdzem Mieczysławem Brzozowskim, lwowianinem z pochodzenia, po wojnie zamieszkałym w Jeleniej Górze, a następnie w Lublinie. Pod koniec lat sześćdziesiątych ks. Brzozowski zaczął przyjeżdżać do Lwowa w odwiedziny do swojej ciotki. Był to świetny kaznodzie-

ja, profesor homiletyki na KUL i w Lubelskim Seminarium Duchownym. Pewnego razu przywiózł ze sobą cykl przygotowanych przez siebie konferencji, które zamierzał wygłosić na spotkaniach z młodzieżą. Spotkanie odbywało się w domu pań Pankówien. Ks. Brzozowski przyjechał wtedy z jeszcze jednym księdzem z Polski. W trakcie rozmów niespodziewanie wkroczyła do mieszkania milicja, widocznie ktoś doniósł władzom o tej imprezie, albo też księża byli śledzeni – nie udało się tego nigdy ustalić. Dziś może trudno to sobie wyobrazić, ale w tamtych czasach tego rodzaju spotkania, w dodatku z gośćmi (księżmi!) z zagranicy, były nielegalne. Dlatego byliśmy przygotowani na różne okoliczności. Gdy zjawili się nieproszeni goście, wszyscy zgodnie udawaliśmy, że jesteśmy na imieninach, pijemy przecież herbatę i jemy ciasto. Milicja zgarnęła nas i odprowadziła na posterunek. W trakcie całego zamieszania księżom udało się ukryć w innym pomieszczeniu i wyjść niezauważenie zapasowymi drzwiami. Dopiero po jakimś czasie milicjanci zorientowali się, że brakuje dwóch osób, zaczęli się o nie dopytywać, ale oczywiście nikt nic nie wiedział. Na szczęście skończyło się tylko na przesłuchaniach i po kilku godzinach wszystkich wypuszczono. Niestety dalszych spotkań nie można było organizować, ponieważ było to zbyt ryzykowne. Zrobiliśmy nagrania tych konferencji. Były to bardzo ciekawe wystąpienia, o treści historyczno-patriotyczno-religijnej. Później wielokrotnie odtwarzaliśmy je na różnych spotkaniach, zawsze były słuchane z zainteresowaniem. Wszystkie te nagrania zostały we Lwowie.

#### **Poczesne miejsce w życiu Polaków we Lwowie zajmował i zajmuje do dzisiaj Teatr Polski. Proszę opowiedzieć o środowisku tego teatru, z którym był pan związany.**

Teatr Polski we Lwowie powstał dość dawno i świetnie funkcjonuje do dnia dzisiejszego. Zaraz po wojnie we Lwowie były trzy polskie szkoły. Jedna została wkrótce zlikwidowana. Nasze dzieci chodziły do „dziesiątki” – Marii Magdaleny. Wtedy jej patronką była Wanda Wasilewska. Ja i moi bracia też przed wojną chodziliśmy do tej szkoły. W drugiej szkole – „dwudziestce czwórce” – uczył prof. Piotr Hauswater. Zorganizował on z młodzieżą polską uczniowski, amatorski



teatr, który bardzo intensywnie się rozwijał. Wystawiano przedstawienia na dość wysokim poziomie, a przede wszystkim po polsku. Kiedy prof. Hauswater zmarł w 1966 r., teatr objął jego wychowanek Zbigniew Chrzanowski, który prowadzi go do dzisiaj. Jest aktorem, reżyserem i dyrektorem tego teatru. Bywałem na prawie wszystkich spektaklach. To było święto dla Polaków. Działalność teatru cieszyła się zawsze wielkim powodzeniem, widownia podczas przedstawienia była zawsze pełna. Kto tylko mógł i choć odrobinę był wrażliwy na sztukę i literaturę oraz uważał się za człowieka kulturalnego, pokazywał się na tych spektaklach. Bywali tam m.in. profesor Politechniki Adam Kuryłło czy prof. Mieczysław Gębarowicz – znany historyk sztuki.

Moja współpraca z teatrem rozpoczęła się od nawiązania znajomości ze Zbigniewem Chrzanowskim, który zwrócił się do mnie z prośbą o napisanie muzyki do kilku reżyserowanych przez niego przedstawień. Było to przede wszystkim *Wesele* Stanisława Wyspiańskiego i in. Organizowano też wieczory muzyczno-poetyckie (np. wieczór Norwida, Słowackiego, Chopina), podczas których grałem na fortepianie. W teatrze skupiali się nie tylko Polacy, ale również ci, dla których język i kultura polska były czymś ważnym, np. Rosjanin Jurij Bortia-



Alojzy Pitula

kow, bardzo zdolny plastyk. Zajmował się też później w teatrze scenografią, aktorstwem i reżyserią. Zastąpił Zbyszka Chrzanowskiego, który w latach 80. musiał opuścić Lwów i przenieść się do Polski, aby osiedlić się w Przemyślu, skąd do dziś dojeżdża do Lwowa. Oprócz opisanego kontaktu z teatrem polskim, próbowałem też swoich aktorskich możliwości, występując w komediowych rolach podczas wieczorków organizowanych w polskiej szkole dla rodziców. Wygłaszałem monologi według własnych scenariuszy, wcielając się w barwną postać szewca Alojzego Pituly.

### **Bez wątplenia najważniejszym miejscem dla Polaków we Lwowie była katedra łacińska.**

Rzeczywiście katedra była bardzo ważnym miejscem skupiającym Polaków we Lwowie. Mogli oni tam szukać wsparcia i pomocy. Ogromną rolę odgrywał jej duszpasterz ojciec Rafał – Władysław Kiernicki, franciszkanin, postać bardzo wybitna i mająca wielkie znaczenie dla rozwoju Kościoła rzymskokatolickiego we Lwowie. Podczas drugiej okupacji sowieckiej prawie wszystkie kościoły zostały zamknięte, były czynne tylko katedra i kościół pw. św. Antoniego przy ul. Łyczakowskiej oraz do 1961 r. kościół św. Marii Magdaleny. Reszta świątyni została zamieniona na cerkwie prawosławne albo na świeckie obiekty – np. w kościele św. Anny był magazyn meblowy, w innych kościołach porobiono jakieś składy. Również kościół św. Marii Magdaleny, który został zamknięty w 1961 r., zamieniono na salę koncertową muzyki organowej, ponieważ były tam (na szczęście) wspaniałe organy. Dziś władze ukraińskie pozwalają odprawiać tam mszę świętą w niedzielę. Od lat trwa walka o zwrot tego kościoła, ale na razie bez rezultatu.

W tych czasach we Lwowie był stale wielki brak księży. W 1946 r. proboszczem katedry został ks. Karol Jastrzębski, dawny katecheta i kapelan u ss. karmelitanek przy ul. Potockiego. Pojawił się też młodszy, ale schorowany ks. Stanisław Płoszyński, który wkrótce, bo już w 1949 r. zmarł. Jego pogrzeb był wielką manifestacją we Lwowie, kondukt żałobny przeszedł z katedry na cmentarz Janowski. U św. Antoniego proboszczem był ks. Hieronim Kwiatkowski, który wkrótce wyjechał ze Lwowa, a jego miejsce zajął wypuszczony z więzienia ks. Ignacy Chwirut. W kościele św. Marii Magdaleny proboszczem był ks. Zygmunt Truskowski, który zmarł w 1949 r.

W 1948 r. został zwolniony z obozu karnego i szczęśliwie powrócił z zesłania do Lwowa ks. Władysław Kiernicki, zwany powszechnie ojcem Rafałem. Każdego dnia rano odprawiał mszę św. w katedrze, masowo spowiadał ludzi, chodził z posługą kapłańską do chorych. Z ogromnym poświęceniem spełniał swoje duszpasterskie powołanie. W 1955 r. wrócił z zesłania ks. Zygmunt Hałuniewicz i objął funkcję proboszcza w kościele św. Marii Magdaleny. W 1961 r., kiedy zamknięto ten kościół,

został duszpasterzem w katedrze, gdzie pozostał do końca życia, czyli do 1974 r. U św. Antoniego w tym czasie pracował ks. Kazimierz Mączyński, który obsługiwał głównie prowincję i raczej nie wspomagał ks. Kiernickiego. Tak więc w rzeczywistości ks. Kiernicki był sam i bez pomocy wykonywał olbrzymią pracę. W latach 1958–65 władze sowieckie zakazały mu pracy duszpasterskiej, został wtedy nocnym stróżem w Parku Stryjskim, pełniąc potajemnie posługę kapłańską. W 1965 r. pozwolono mu wrócić do katedry, gdzie pracował już do śmierci. W 1991 r. został mianowany biskupem pomocniczym lwowskim. W tym czasie nas już we Lwowie nie było.

**Jak wspomina pan ks. biskupa Kiernickiego? Czy rzeczywiście był ostry i nieprzystępny, jak wspominają go niektórzy?**

Ależ skąd! On po prostu nie dawał sobie na głowę wchodzić tym różnym babom kościelnym i im podobnym! Ja znałem go dobrze na prywatnej stopie, może rzeczywiście w kontaktach oficjalnych był trochę apodyktyczny. Pamiętam go doskonale choćby z wieczorków kolędowych organizowanych przez panie Pankówny w czasie Bożego Narodzenia. Ks. Kiernicki mieszkał u nich. I na tych wieczorkach zawsze był obecny. Wyśpiewywał ze wszystkimi kolędy, zawsze był taki wesoły. Był rozmowny i kontaktowy.

**Pan profesor kontynuował studia po wojnie, czy pan był wtedy jedynym Polakiem na uczelni? Czy miał pan tam jakieś grono przyjaciół?**

W czasie studiów miałem jedną koleżankę Polkę i kolegę Żyda. Z młodszych kolegów, jak już wspominałem, przyjaźniłem się z Henrykiem Mozerem. Była też pianistka pani Maria Tarnawiecka, która została później profesorem konserwatorium i do dzisiaj mieszka i pracuje we Lwowie. W tym też czasie poznałem swoją przyszłą żonę Kazię, która pracowała w aptece, gdzie kupowałem lekarstwa.

**We Lwowie był pan profesor znanym i cenionym muzykiem i kompozytorem. Od ukończenia studiów pracował pan we lwowskim konserwatorium. Co się stało, że stracił pan pracę, co w efekcie spowodowało też opuszczenie przez pana z całą rodziną Lwowa?**

Pierwsze studia – kompozytorskie – skończyłem w 1950 r., a drugie – pianistyczne – w 1954 r. Po pierwszych studiach przez rok byłem bez pracy. W 1951 r. zostałem zatrudniony w konserwatorium jako kierownik gabinetu historii muzyki. Był to rodzaj biblioteki i czytelnia. Obok mieliśmy też gabinet nagrywania dźwiękowego. Przepracowałem tam pięć lat. Następnie otrzymałem pracę pedagogiczną przedmiotów teoretycznych, po kilku następnych latach zacząłem zaś pracować jako wykładowca fortepianu.

Po pewnym czasie zaczęły się jednak kłopoty. Władze konserwatorium wprowadziły wiedziały, że jestem człowiekiem wierzącym i że uczęszczam do kościoła. Kiedy jednak dzieci podrosły i w szkole nie wstąpiły do młodzieżowych politycznych organizacji pionierów i komsomołu, rozpoczęła się na mnie nagonka, zarzucono mi, że nie wychowuję dzieci w duchu komunistycznym. Zaczęto przeprowadzać ze mną różne rozmowy, dostawałem ostrzeżenia, nawet ze strony wyższych instancji partyjnych. Na wyższych uczelniach każdy pedagog obowiązany był do odnawiania co 5 lat kontraktu o pracę poprzez przystąpienie do tzw. konkursu, na podstawie którego był ponownie zatrudniany na swoim stanowisku. Nikt nie mógł oficjalnie mi zarzucić, że nie zgadza się z moimi poglądami religijnymi, ponieważ konstytucja sowiecka gwarantowała przecież wolność religijną. Wykorzystano więc moment, w którym kończył mi się termin zatrudnienia i zwolniono mnie z pracy pod pretekstem, że nie spełniłem wymagań konkursu, który zazwyczaj był zwykłą formalnością. W ten sposób zostałem bez pracy i przez kilka następnych lat utrzymywałem się wyłącznie z udzielania prywatnych korepetycji. Sytuacja taka była jednak bez żadnych perspektyw i wtedy, po kilku latach mojego bezrobocia podjęliśmy z żoną trudną decyzję o wyjeździe ze Lwowa do Polski.

**W jednym z wywiadów mówił pan że wszystkie pana utwory nagrane w lwowskim radiu zostały zniszczone, czy rzeczywiście tak się mogło stać?**

Tak się stało. W tamtym systemie było to normalne. Kto znalazł się na cenzurowanym, znikał z bibliotek, płytotek, archiwów radiowych. Nie było go! Co się stało z tymi

nagraniami, nie wiem. Jak mnie zwolniono z konserwatorium, pomyślałem, że warto by zrobić dla siebie kopie moich utworów, które były nagrane w lwowskim radiu. Kiedy poprosiłem o skopiowanie, poinformowano mnie, że tych utworów już nie ma, że zostały skasowane. Szkoda...

**Wydaje się to takie nieprawdopodobne! W końcu za swe osiągnięcia artystyczne był pan uhonorowany licznymi nagrodami i wyróżnieniami.**

Otrzymałem szereg nagród. Najważniejsze z nich to: III nagroda na Wszzechzwiązkowym Konkursie Kompozytorskim w Moskwie (1961), Nagroda im. św. Brata Alberta za całokształt twórczości (1981), dwukrotnie Nagroda Artystyczna Miasta Lublina (1998 i 2002), Nagroda Związku Kompozytorów Polskich (2000), Nagroda Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego (2000), Dyplom i Medal Ojca Świętego Jana Pawła II „Pro Ecclesia et Pontifice” (2003), tytuł „profesora honoris causa” Lwowskiej Akademii Muzycznej (2003), Order Kapituły Czasopisma „I” – „Za intelektualną odwagę” (Lwów 2005), „Honorowy Obywatel Miasta Lublina” (2008), Srebrny Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” (2012), od 1989 r. jestem prezesem Lubelskiego Oddziału Związku Kompozytorów Polskich.

Do Lublina przywiozłem ze sobą ze Lwowa dość pokazywany dorobek kompozytorski, po czym już w Lublinie napisałem cały szereg nowych utworów, w tym kilkanaście kantat, 7 koncertów fortepianowych, 2 koncerty wiolonczelowe, utwory organowe, fortepianowe, wokalne i inne. Najmilej wspominam pierwsze lubelskie wykonanie mojego dzieła zaprezentowanego w 1983 r. w katedrze lubelskiej. Była to kantata *Słysz Boże wołanie moje*, śpiewała Jadwiga Rappe, orkiestrą filharmonii lubelskiej dyrygował Adam Natanek.

**W jednej z publikacji znalazłem pana zdjęcia z Janem Pawłem II. Czy miał pan jakieś bliższe kontakty z papieżem?**

Specjalnych kontaktów z Ojcem Świętym nie miałem. W 1970 r. nasze dzieci, Małgosia i Janek, pojechały z wizytą do Krakowa. Nadarzyła się wówczas szczególnie okazja, podczas której dzieci otrzymały z rąk jeszcze wtedy kardynała Karola Wojtyły sakra-

ment bierzmowania. I jeszcze jedno wydarzenie. W 1985 r. wybraliśmy się z żoną na pielgrzymkę do Rzymu. Niedługo przedtem skomponowałem utwór *Antyfona do Najświętszej Marii Panny*, który dedykowałem Ojcu Świętemu. Podczas audiencji w Watykanie miałem okazję osobiście wręczyć partyturę tego utworu Janowi Pawłowi II. Po pewnym czasie otrzymałem z Watykanu oficjalną informację, że utwór ten został zarejestrowany w Bibliotece Watykańskiej. Poza tym moja córka Małgorzata kilkakrotnie była z Chórem Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego na audiencjach prywatnych w Castel Gandolfo i Watykanie.

W czerwcu 2001 r., kiedy Jan Paweł II odwiedzał Ukrainę i przyjechał do Lwowa, nie mogłem pojechać na spotkanie z Ojcem Świętym. Ale ponieważ papieska wizyta we Lwowie była wielkim wydarzeniem i przeżyciem dla wszystkich lwowiaków, postanowiliśmy, że ktoś z rodziny na pewno pojedzie. Osobą tą była córka. Reprezentowała naszą rodzinę na spotkaniu papieża z wiernymi na lwowskim Hipodromie przy ul. Stryjskiej.

**Pańscy dwaj bracia osiedli w Krakowie. Pan profesor wybrał Lublin. Dlaczego?**

W Lublinie mieszkał zaprzyjaźniony z nami ksiądz Mieczysław Brzozowski, z którym utrzymywaliśmy bliski kontakt. Namawiał nas do osiedlenia się w Lublinie. Będąc z wizytą w Krakowie u braci, wspominałem o tym w rozmowie z Jerzym Bresticzkerem, muzykiem i muzykologiem, który jak się okazało znał dobrze ówczesnego dyrektora Filharmonii lubelskiej prof. Adama Natanka. Przez pośrednictwo pana Natanka udało się załatwić dla mnie pracę na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej i w Państwowej Ogólnokształcącej Szkole Muzycznej I i II stopnia. Przez uniwersytet otrzymałem z puli wojewody lubelskiego mieszkanie. Wiele pomagał mi też wspomniany wcześniej ks. Mieczysław Brzozowski, który zresztą zatrudnił mnie w późniejszym czasie do prowadzenia chóru w Seminarium Duchownym w Lublinie. W 1983 r. podjąłem również pracę pedagogiczną w Instytucie Muzykologii na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.

**Serdecznie dziękuję panu profesorowi za rozmowę.**

# WOJCIECH KILAR

Był jednym z wielu artystów, którego wydała Ziemia Lwowska. Ten znakomity muzyk, kompozytor, lwowianin zmarł 29 grudnia 2013 roku.



Urodził się 17 lipca 1932 roku we Lwowie. Mieszkał przy ulicy Leona Sapiehy – róg Lwowskich Dzieci. Był synem lekarza i aktorki teatru lwowskiego. Wyrastał w atmosferze przesiąkniętej sztuką. Wcześniej rozpoczął naukę gry na fortepianie. Krótko trwało jego beztrojskie dzieciństwo. Nastąpiły lata wojny, okupacji. Lwów został oddzielony granicą od powojennej Polski. Rodzina Kilarów w ramach ekspatriacji wyjechała do Rzeszowa, skąd przeniosła się na Śląsk, do Katowic.

Rozpoczął we Lwowie edukację muzyczną Kilar kontynuował w Krakowie. Gry na fortepianie uczyła go Maria Bilińska-Riegerowa, a harmonii Artur Malawski. W Katowicach studiował w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej, gdzie uzyskał w 1955 r. dyplom z najwyższym odznaczeniem. Dalsze studia to Kursy Wakacyjne Nowej Muzyki w Darmstadt i stypendium rządu francuskiego w Paryżu (1959-60) u Nadii Boulanger.

Osobą, która miała wielki wpływ na rozwój twórcy artysty, była miłość jego życia – żona Barbara Pomianowska. Pod jej wpływem zaczął tworzyć muzykę sakralną. W 1975 roku skomponował utwór na chór i orkiestrę *Bogurodzica*. W 1980 roku wybrał się z przyjacielem, malarzem Dudą-Graczem na Jasną Górę do Madonny Częstochowskiej. Odtąd był gościem Ojców Paulinów. Powstały wtedy utwory *Angelus* i *Exodus*. Z *Bogurodzicą* stworzyły tryptyk opowiadający historię Polski. *Angelus* oparty na modlitwie różańcowej to hołd dla Polaków czasu wojen. Powstał w okresie stanu wojennego i wizyty Jana Pawła II. *Exodus* to poemat na chór i orkiestrę. Został wykonany na Warszawskiej Jesieni w 1981 r. Wyraża radosną wiarę w odrodzenie Polski.

*Wiktoria* – dzieło dla uczczenia drugiej pielgrzymki Jana Pawła II – 300 lat po odświeżeniu wiedeńskiej – przynosiło nadzieję na odrodzenie po dramacie stanu wojennego. W 2000 roku powstała *Missa pro pace*. Została skomponowana tak, by mogła służyć liturgii mszy świętej. *Magnificat*, utwór oparty

na Ewangelii św. Łukasza (2006), artysta zadedykował swojej żonie Barbarze, która rok później zmarła.

Wojciech Kilar, zafascynowany górami, pisał też muzykę im poświęconą. W 1974 roku powstał *Kzesany* – utwór na dużą orkiestrę symfoniczną. Jego prawykonanie odbyło się w ramach Warszawskiej Jesieni. W 1976 r. powstał *Kościelec 1909* – poemat symfoniczny poświęcony pamięci tragicznie zmarłego w 1909 roku Mieczysława Karłowicza. Zwieńczeniem cyklu inspirowanego góralskim folklorem jest kameralny utwór na orkiestrę smyczkową *Orawa* (1986).

O wszechstronności Wojciecha Kilara świadczy jego twórczość filmowa. Napisał muzykę do około 150 filmów. Tę twórczość traktował niemal z lekceważeniem, jako „usługową”. Komponował muzykę dla Wajdy, Hasa, Zanusiego, Kutza, Różewicza, Liwienthała, Grimaulta, a także dla Franka Coppoli z Hollywood. Pamiętamy muzykę do serialu *Przygody pana Michała* (1969) i do *Pana Tadeusza* (1999) ze słynnym polonezem. W 1976 roku powstał pamiętny walc do filmu *Trędowata*, w 2002 roku mazur do *Zemsty*, a w 1975 walc do *Ziemi Obiecanej*. Tworząc muzykę do *Pianisty* Polańskiego, artysta skromnie usunął się na drugi plan, dając miejsce muzyce Chopina.

Jerzy Janicki w swoim „Alfabcie lwowskim” pisze, że Kilar zebrał więcej nagród niż klawiszy w fortepianie. Cała twórczość Wojciecha Kilara jest przesiąknięta miłością do Boga i Ojczyzny, jej dramatycznej historii i kart chwały.

*Obszerne i ogromnie ciekawe wspomnienia o Wojciechu Kilarze znaleźliśmy również w:*

– „Historii – Uważam Rze” nr 2/2014: „Polska w nutach zapisana”, autorstwa M. Niemojewskiej,

– „Kurierze Galicyjskim” nr 1/2014: „Wojciech Kilar In memoriam”, autorstwa M. Piekarskiego.

**Eugeniusz Zychowicz**

## O tym, jak profesor Plamitzer nie został członkiem PAN

Przeglądając archiwalne zeszyty „Cracovia–Leopolis”, w numerze 4 z 2005 roku przeczytałem raz jeszcze artykuł o tej wybitnej postaci życia naukowego, nie tylko krakowskich uczelni. Pragnę dorzucić jeszcze kilka, może mniej znanych Czytelnikom szczegółów.

Profesor Antoni Plamitzer uchoił w okresie powojennym za najlepszego specjalistę w zakresie nauk matematycznych i geometrii wykreślnej w Polsce. Pamiętam, głośna była wśród studentów na Politechnice Krakowskiej (zapewne również wśród kadry pedagogicznej) sprawa propozycji profesorowi członkostwa Polskiej Akademii Nauk.

W roku (prawdopodobnie) 1953 na uczelnię przybyła delegacja PAN z Warszawy, właśnie do prof. A. Plamitzera. W relacjach przekazywanych między studentami, rozmowa w katedrze profesora mogła mieć następujący przebieg:

– Dzień dobry panie profesorze. Jesteśmy delegacją Polskiej Akademii Nauk w Warszawie, przyjechaliśmy do pana z propozycją

– Witam panów i czym mogę służyć Polskiej Akademii Nauk?

– Panie profesorze, wiemy że jest pan wybitnym specjalistą nauk matematycznych, znamy osiągnięcia pana jako kontynuatora dzieła profesora Kazimierza Bartla w zakresie geometrii wykreślnej i dlatego mamy dla pana propozycję.

– Dziękuję panom za miłe słowa, a z moimi osiągnięciami to chyba przesada, owszem pracowałem na Politechnice Lwowskiej w katedrze tego wybitnego naukowca i polityka, który stał się nieszczęśliwą ofiarą wojny. Obecnie, jak panowie widzicie, pracuję na Politechnice Krakowskiej w swoim zawodzie. A co do panów propozycji – słucham uważnie.

– Skromność pana profesora tylko podkreśla wybitną rangę i autorytet, jakim cieszy się pan w środowisku naukowym. Docenia-

jąc to wszystko, chcemy panu zaproponować członkostwo zwyczajne w Polskiej Akademii Nauk.

– Szanowni panowie, jest to dla mnie wyróżnienie i zaszczyt, na które nie wiem czy zasługuję. Dobiegam do emerytury, ale jeśli mógłbym być jeszcze przydatny w PAN, to chętnie propozycję rozważę.

– Ale jest, panie profesorze, jeden warunek.

– Warunek? – zdziwił się profesor.

– Tak. U pana w katedrze panie profesorze wisi krzyż na ścianie. Szanując pańskie przekonania, musimy jednak żądać, aby ten krzyż został usunięty. Niestety nowe czasy i wie Pan...

– Tak. Wiem wszystko. Chcę panom powiedzieć, że ten krzyż towarzyszył mi w pracy w moim ukochanym Lwowie, z którego zostaliśmy wygnani, a teraz jest ze mną w Krakowie. I muszę panom oświadczyć, że dopóki ja będę w tej katedrze, dopóty ten krzyż pozostanie ze mną.

– Panie profesorze, członkostwo w PAN to nie tylko splendor, na który pan zasługuje, ale także znacznie dogodniejsze możliwości prowadzenia pracy naukowej. Ponadto zmieni się korzystnie również pana status materialny. A jeśli przyjmie pan, panie profesorze, warunek, to może zachować pan także kierownictwo swojej katedry w Krakowie. Wyrażamy zatem nadzieję, że nie jest to ostatnie pańskie słowo.

– Niestety, nie mam nic więcej panom do dodania. Z przykrością muszę panów pożegnać.

Przedstawiciele PAN odjechali więc z niczym. Wiadomość o odrzuceniu członkostwa w PAN z powodu postawionego przez jej przedstawicieli warunku była powtarzana między studentami i przysporzyła profesorowi dużo sympatii. Chociaż i bez tego był on ogólnie lubiany i szanowany przez bractwo studenckie oraz cieszył się ogromnym autorytetem. Sympatii przysparzało mu również jego stanowisko na Radzie Wydziału,



gdzie zabierał głos w obronie studentów i wyrażał troskę o ich warunki materialne, często w tamtym okresie nietatwe.

Podczas prowadzenia wykładów potrafił wymusić dyscyplinę słuchaczy na sali i w razie jakiegoś nieporządku, szmerów czy rozmów bardzo przyspieszał tempo rysowania na tablicy konstrukcji geometrycznych, tak że nie sposób było nadążyć za tokiem jego myśli. Wówczas odwracał się do sali, zdejmował binokle, nakładał je na palec wskazujący i mówił: – *Proszę państwa, ja mogę jeszcze szybciej.* Przypominał od czasu do czasu, że dwie proste równoległe przecinają się w nieskończoności, w „niebieskim koraliku”...

Geometria wykreślna, nazywana jako przedmiot *teorią rzutów*, nie jest nauką łatwą i niejednemu z nas przysparzała trudności. Na egzaminie końcowym po dwóch semestrach tym, którzy nieco słabiej od innych opanowali materiał, profesor wpisując do indeksu notę mawiał: – *Daję panu dostatecznie i ostatecznie* – akcentował przy tym pierwsze sylaby tych dwóch słów.

\* \* \*

Asystentem w Katedrze Geometrii Wykreślanej był mgr inżynier Janusz Zipser, zięć profesora, prawdopodobnie syn lub krewny innego, urodzonego w Zbarażu profesora

Politechniki Lwowskiej Kazimierza Zipsera, specjalisty od kolejnictwa, który po wojnie pracował na Politechnice Wrocławskiej.

Janusz Zipser był nie tylko inżynierem z rokuszącą wybitnie karierą naukową, ale obdarzony był także talentem artystycznym. Posiadał piękny, tenorowy głos. Miałem przyjemność słuchać go w Teatrze im. Słowackiego, gdzie występował w roli Stefana ze *Straszego dworu* Moniuszki. Janusz Zipser, niedługo po śmierci swego teścia, wyjechał z rodziną do Wrocławia.

Profesor Antoni Plamitzer zmarł 15 października 1954 roku i został pochowany na cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Żegnał Profesora jego kolega z Politechniki Krakowskiej (a wcześniej ze Lwowskiej), znakomity geodeta, profesor Mieczysław Wrona, bardzo dowcipny i również lubiany przez studentów. Pamiętam, jak podczas wygłaszania mowy pożegnalnej, głos mu się załamał ze wzruszenia.

Profesor Wrona przeżył swego znakomitego kolegę o 7 lat. Zmarł w 1961 roku i również spoczął na cmentarzu Rakowickim.

---

EUGENIUSZ ZYCHOWICZ, ur. 1935, Kraków, w rodzinie o korzeniach stryjskich. Mgr inżynier budownictwa lądowego, absolwent Politechniki Krakowskiej.

---

## Naszym zdaniem

### LWOWIANIE NA RAKOWICACH



Z okazji Święta Zmarłych '12 dołączony został (już po raz trzeci) do krakowskiego „Dziennika Polskiego” ilustrowany albumik, zatytułowany *Szlakiem pamięci*, a poświęcony grobom zmarłych profesorów UJ, pochowanych na cmentarzu Rakowickim. W tymże albumiku znalazło się ich 120, przy czym są tu nazwiska – w zależności od zachowanych grobów – nawet z połowy XVIII wieku. Najwięcej oczywiście od połowy XIX w., a wśród nich znajdujemy sporo zmarłych w Krakowie lwowian – profesorów

przedwojennych lub powojennych, lecz przygotowanych do tego we Lwowie.

Niestety ani słowem dotąd nie wspomniano o Feliksie Szlachetowskim (1820–1896), który nie był profesorem *sensu stricto*, jednak przez kilkanaście lat wykładał na wydziale prawa, ponadto – jako prezydent miasta Krakowa – poniósł ogromne zasługi w budowie nowych obiektów dla krakowskiego uniwersytetu – jego dokonania opisaliśmy w CL 2/03. Szlachetowski stał się jednym z czterech najwybitniejszych prezydentów Krakowa, a którzy – taki był los – pochodzili ze Lwowa i Małopolski Wschodniej: Dietl – Zyblikiewicz – Szlachetowski – Leo.

Owo pominięcie dotknęło nie tylko pamięci Feliksa Szlachetowskiego...

A swoją drogą, warto wreszcie spisać lwowskie groby na Rakowcach, Salwatorze, Batowicach, Podgórzu, w Wieliczce, Zakopanem i na tyłu innych cmentarzach. Może któreś gimnazjum by się tego podjęło?

# Profesor Wanda Pencakowska

## Wspomnienie syna

Moja matka zmarła w swym krakowskim mieszkaniu 14 listopada 2008 i została pochowana na cmentarzu w Myślenicach, obok męża – Kazimierza (mojego ojca) i młodszego syna – Jacka (mego brata). Na granitowej płycie można tam przeczytać słowa: *Profesor Wanda Pencakowska architekt, żołnierz AK 1922 Lwów – Kraków 2008*.

Mama urodziła się w rodzinie nauczycielskiej. Jej ojciec, matematyk i fizyk – Jan Zbiegień, był profesorem szkół średnich, a później wykładowcą Politechniki Lwowskiej; także jej matka, Wanda z Jarmulskich, pracowała za młodu jako nauczycielka. W kochającej się rodzinie Wandeczka rosła, uczyła się w tzw. ćwiczeniówce, a potem w II Państwowym Żeńskim Gimnazjum i Liceum im. Adama Asnyka. Ze szkoły tej była dumna, a kontakty z koleżankami klasowymi (tzw. asnyczankami) utrzymywała do ostatnich lat życia.

Wraz z całym pokoleniem urodzonym i wychowanym w niepodległej Polsce przeszła swą „smugę cienia” w roku 1939, kiedy zaczęła się wojna i nastąpiły kolejne okupacje Lwowa. Towarzystwa temu nędza i poczucie zagrożenia z jednej strony, z drugiej zaś wola przetrwania i walki i poświęcenia dla Ojczyzny. Za „pierwszych sowietów” osiemnastoletnia wówczas Wanda Zbiegieniówna zdała maturę i rozpoczęła studia na Wydziale Architektury Politechniki Lwowskiej, gdzie zajęcia prowadzone były wedle przedwojennych programów, przez świetną polską kadrę. Tam też poznała przyszłego męża. Na początku okupacji niemieckiej została zaprzysiężona jako żołnierz Polski Podziemnej; w AK nosiła pseudonim „Jacek” i była sekcijną drużyny sanitariuszek. Wspominała (rzadko nawiasem mówiąc) konspiracyjne szkolenia i akcje, ukrywanie broni, plakatowanie lwowskich murów odezwami mówiącymi o rewolucji w Berlinie, śmierci Hitlera i wzywającym Niemców do składania broni itd. Kiedy sowietci zawitali do Lwowa po raz drugi i zaczęły się kolejne wywóz-

ki Polaków, pewnej zimowej nocy „oswobodziciele” przyszli także po nią. Została wywieziona wraz z tysiącami innych. Znalazła się w żeńskim łagrze przy kopalni węgla w Donbasie, gdzie zaraz pierwszego dnia zgłosiła się ochotniczo do pracy w szpitalu. Została w nim kilka miesięcy, opiekując się m.in. lwowskimi profesorami, uwięzionymi w sąsiednim – męskim obozie koncentracyjnym. Za to też, zdaje się, została potem z lazaretu wyrzucona do pracy przy węglu. Później wróciła tam, sama bowiem zachorowała na tyfus i niemal cudem uniknęła śmierci. Jednak – wedle jej własnych słów – wiara w to, że wróci do swoich, nie opuściła jej nigdy.

Po zwolnieniu z obozu pojechała do Lwowa, a stamtąd do Krakowa, gdzie już wcześniej znaleźli się jej rodzice i młodszy brat – Tadeusz. Tu dokończyła studia i jeszcze przed obroną dyplomu rozpoczęła pracę na stanowisku asystenta w katedrze urbanistyki. Z Wydziałem Architektury Politechniki Krakowskiej związała się na stałe. Z czasem obroniła pracę doktorską i przeprowadziła przewód habilitacyjny, by już w wolnej Polsce otrzymać tytuł profesora z rąk prezydenta Lecha Wałęsy. Przez pół wieku zajmowała ją urbanistyka; szczególnie interesowała się – jako praktyk i teoretyk – projektowaniem uzdrowisk. Była też pedagogiem traktującym kształtowanie młodych ludzi oraz nauczaniem przyszłych architektów z powagą i sercem.

Przez wiele lat Mama łączyła pracę zawodową z życiem rodzinnym. Los przynosił jej liczne radości, ale też nie szczędził cierpienia. Wobec nich okazywała zawsze siłę charakteru. Przez wiele lat zajmowała się naszą sparaliżowaną babcią i chorującym ojcem. Przeżyła przedwczesną śmierć swego brata, a po ćwierćwieczu młodszego syna. Do końca życia nie pogodziła się z ich odejściem, podobnie jak z utratą ukochanego miasta Lwowa. Zachowała jednak pogodę ducha, ciesząc się w swoim czasie



z narodzin wnuków, którzy darzyli ją gorącymi uczuciami i dla których była prawdziwym autorytetem, i prawnuka. Zapisała się dobrze w pamięci rodziny, przyjaciół, współpracowników i uczniów.

Gdy zamykam oczy, wciąż widzę jej uśmiechniętą twarz, słyszę też jej głos i aż mi się wierzyć nie chce, że już od pięciu lat

nie ma jej pośród nas. Żywię jednak nadzieję, że miejsce, w którym obecnie przebywa wraz ze swymi bliskimi, podobne jest do ulicy Łyczakowskiej w pogodny wiosenny dzień, a anioły tam oddelegowane zaciągają z lekka – jak Ona – „pu lwosku”!

14 XII 2013

Paweł Pencakowski

# Lwowska Świteż

*Poniższy tekst, podpisany „Czwartak”, przepisaliśmy z Biuletynu-Kwartalnika LWÓW I KRESY nr 60, Londyn, lipiec 1989. O zgodę nie pytaliśmy – przepraszamy!*

**Kto z nas nie pamięta „Świtezi”? Lwów – miasto bez rzeki, z głęboko schowaną w kanałach Pełtwią, był skazany na sztuczne stawy i pływalnie. Kiedyś było kilka stawów sztucznie założonych przy Pełczyńskiej u stóp Cytadeli, nazwane przez władze austriackie „pływalnią wojskową”. Zasypane z początkiem XX wieku „stawy” stały się w lecie kortami tenisowymi, w zimie słynną ślizgawką.**

Ale u zbiegu ulic Issakowicza i Wuleckiej utrzymał się duży staw-zalew, zasilany przez mały potok, płynący gdzieś ze źródeł na pagórkach za torem kolei Lwów–Stanisławów. W naszej młodej wyobraźni „Świteż” była synonimem sportów wodnych, można było kąpać się, pływać, wiosłować na łódkach, a w zimie pędzić na łyżwach po prawdziwym lodzie! Stare olchy i wysokie topole otaczające część stawu nadawały dużygo uroku, mieszając cień i zielen z jednej strony – z intensywnym słońcem z drugiej. Toteż na lekcjach rysunków z tylnych ławek padały często propozycje, żeby dzisiaj malować „z natury”, np. na „Świtezi”.

Czasem, w ciepłe dni wiosenne, taka propozycja chwytiała i cała klasa wędrowała rysować nad staw, kończąc lekcję regatami na łódkach. W miarę jak nadchodziło lato, wolne

dotąd wejście na teren „Świtezi” stawało się problematyczne, brama zamykała się, trzeba było się liczyć z opłatą wstępu. A kiedy pociągnięto drewniany parkan dobrą porcją teru, który czuć było już od ulicy Potockiego, wiadomo było, że sezon letni już się zaczął.

A więc w ciągu dnia pływalnia, pod wieczór sport wioślarski. Rządy obejmował wtedy powszechnie znany p. Grocholski i pewną ręką panował nad barwną publicznością. Był on zarządcą, pilnował porządku, kontrolował bilety, dbał o czystość, wynajmował łódki i jako ratownik czuwał nad bezpieczeństwem pływaków. Miał naturalnie łódkę ratunkową obmalowaną dużą ilością czerwonych krzyżyków. Złośliwi twierdzili, że każdy krzyżyk oznaczał topielca.

Była bowiem duża konkurencja między „Świtezią” i pływalniami będącymi w zarządzie Miejskiego Urzędu Wodnego. Wielu chodziło kąpać się na „Świteż”, bo woda była „naturalna”, bez chloru, a więc w pojęciu licznych pływaków – zdrowsza. Wtedy nikt nie przejmował się ani nie obawiał chorób lub epidemii, grunt, że woda była mokra i „stale zasilana wodą źródlaną”, jak zapewniała dyrekcja kąpieliska. Pływacy zrzeszeni w klubach uczęszczali na pływalnie miejskie i z góry patrzyli na „dziką” kąpiel na „Świtezi”.

Nie znaczyło to, że staw świecił pustkami, w czasie lata frekwencja była duża, uzupełniona pewnym procentem ryzykantów, którzy zgrabnie skakali przez parkan, z lepszą techniką niż niejeden olimpijczyk, szczególnie tam w tyle stawu, od strony klasztoru SS Bazylianek! Pan Grocholski miał oko iście sokole. Potrafił szybko wyłowić w tłumie kąpielowiczów szwarcera i skonfiskować mu chytrze schowane ubranie. Nie podnosił zbyt głośno sztorcując złapanego bez biletu ptaszka, nigdy nie używał ordynarnych słów, ale potrafił zawstydzić amatora kąpeli za frajer, który szybko szukał



pomocy kolegów, żeby zebrać parę szóstek i wykupić ubranie zatrzymane jako zastaw.

Pod wieczór znikali pływacy, rozpoczynał się natomiast sport wioślarski. Stopniowo odbijały łódki od brzegu i wolno posuwały się po stawie, dając wioślarzom okazję do ochłody i odprężenia. Spacerując wieczorem po ulicy Wuleckiej, z daleka można było słyszeć głos p. Grocholskiego, który przez tubę wzywał wioślarzy do powrotu. *Szóstka do brzegu!* powtarzana kilkakrotnie z naciskiem, przypominała, że pół godziny to tylko 30 minut, a nie 60 lub więcej.

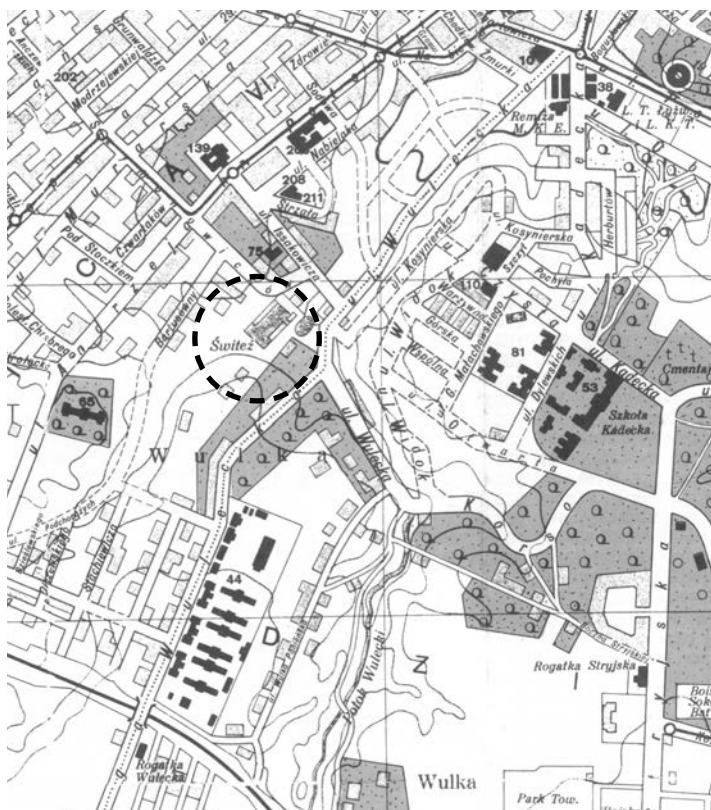
„Świteż” była, oprócz kąpieliska, także basenem eksperymentalnym lwowskich stoczniovców. Co jakiś czas pojawiały się jednostki wodne skonstruowane przez przyszłych żeglarzy, nieraz o bardzo śmiałych sylwetkach i formach. Były tam i kajaki ekstra lekkie i większe łódki, wszystko o wyszukanych nazwach. Tak jak kajak nazywał się groźnie „Pancernik II”, a coś, co przypominało galar wiślany, waliło oko nazwą „Hirondelle”. Naturalnie wodowanie odbywało się w asyście licznej gawiedzi, komentującej zalety jednostki, podkreślając ze znanstwem walory czegoś, co urągało prymitywnym zasadom konstrukcji żeglarskich. Na ogół wszystkie te prototypy nie ujrzały innych wód jak wodę „Świtezi” i po licznych próbach, ulepszeniach i przebudowaniach zostały przesunięte do zacisznego zalewu za kabinkami damskimi i na jesień kończyły żywot w piecu p. Grocholskiego.

Bo właśnie późną jesienią zniknęły łódki ze stawu i zimowały pod dachem starej kręgielni. Pan Grocholski obniżał nieco poziom wody stawu i czekał na pierwsze mrozy. Brama „Świtezi” otwierała się i my sami mogliśmy zbadać, czy woda marznie. Była to najlepsza reklama nadchodzącego sezonu zimowego. Dzisiaj lód miał 3 cm grubości! Już obliczaliśmy, kiedy będzie można stanąć na tafli lodu, o ile nie nastąpi odwilż. Chyba za tydzień! Aż tu nowa wiadomość! Ślizgawka na Pelczyńskiej otworzyła! Prędzej skrzepł lód na płytkiej warstwie wody na kortach niż na

głębokiej „Świtezi”! Za to pod koniec zimy ślizgawka na Pelczyńskiej była już dawno zamknięta, a my na „Świtezi” jeszcze mogliśmy się ślizgać.

Zaletą ślizgawki na „Świtezi” były częste przerwy w oświetleniu. Wadliwa instalacja, często przeciążona, powodowała krótkie spięcia. Łatane pospiesznie bezpieczniki nie wytrzymały długo i lodowisko ponownie pogrążało się w egipskich ciemnościach. Był to wyczekiwany moment, żeby szybko przypiąć schowane pod płaszczem łyżwy i wmiszać się w resztę ślizgających się, głośno narzekając na brak oświetlenia.

Lodowisko na „Świtezi” było większe niż na Pelczyńskiej, ale z mniejszą liczbą łyżwiarzy. Toteż można było w czasie gonitw rozwijać większą szybkość lub formować długie węże i z fasonem „zawijać” ogon bez groźby zderzenia. Były też tam skoki i „fajki” oraz inne kunszty jazdy na lodzie, wszystko przy akompaniamencie dychawiczego głośnika, z którego najgłośniej wydobywał się stale powtarzany jeden i ten sam walczyk. ▶



Ludwik Kruszelnicki

## Zielona trybuna

**Historia lwowskiej „Pogoni” nie byłaby pełna, gdybyśmy pominieli w niej... zieloną trybunę.**

*Zieloną trybunę* zna każdy, kto choćby raz w życiu zetknął się ze sportem lwowskim. Już na sam dźwięk tej nazwy staną mu przed oczyma wiekowe kasztany, okalające boisko „Pogoni” za rogatką stryjską. Drzewa ciche, poważne, dostojne. Pełne godności i dumy, stare protektory sportu. Na tle ich bujnej i soczystej zieleni rumienią się w każdą niedzielę, w każde święto, niczym jabłka dojrzałe, oblicza najmłodszego pokolenia lwowskiego, zasiadającego na gałęziach i obserwującego w skupieniu przebieg zawodów.

*Zielona trybuna* to odrębny światek, podzielony na rody, zadruigi i klany, odpowiadające terytorialnie wszystkim znanym przedmieściom lwowskim, a więc gródeckiemu, zamarstynowskiemu, łyżczakowskiemu itd. Świątek ten rządzi się własnymi, choć niepisаныmi prawami, ma swe przywileje i obowiązki i swój własny wymiar sprawiedliwości.

Marny los tego, kto chociaż na godzinę przed meczem chciałby się wspiąć na kasztan i zająć miejsce na którejkolwiek gałęzi. „Gość” taki może być pewny, że na pięć minut przed rozpoczęciem zawodów zjawi się na drzewie „prawowity” właściciel

tego miejsca, a intruz jak niepyszny będzie musiał pofatygować się na ziemię, spuszczonej wśród gwizdów całej zielonej widowni zarówno z tego drzewa, jak i z sąsiednich kasztanów. Niechby spróbował się opierać! Nie ma takiej władzy na ziemi i we wszechświecie, która by zdołała wyeksmitować zielonotrybunowca z jego dobrze i pracowicie zasiedzanego miejsca.

*Zielona trybuna* zna się na przepisach sportowych i prawidłach gier. Niech kto co chce mówi, ale gdy w czasie zawodów piłkarskich padnie z kasztana słowo „spalony”, to choćby cały areopag arbitrów twierdził, że nie było – nie będzie mieć racji. „Spalony” był i koniec! Szkoda każdej dalszej dyskusji! Przecież zielona trybuna to widziała! A opinia zielonej trybuny jest autorytatywna, bezapelacyjna i – nie do przekupienia. *Zielona trybuna* ma swoje zasady i swoją własną etykę sportową. Niech no się sędzia pomyli na niekorzyść naszych. Zaraz, jakby pod obuchem straszliwego huraganu, trzęsą się gałęzie i w poszumie liści, przy akompaniamencie przeraźliwych gwizdów, idzie w świat ryk okrutny. To *zielona trybuna* protestuje. Zielona trybuna widziała niesprawiedliwość i nie dopuści do krzywdzenia naszych. Czasem bywa przeciwnie. Sędzia wyda orzeczenie krzywdzące gości. I wtedy dzieje się rzecz dziwna. Podczas gdy loże i płatne miejsca witają szmerem zadowolenia, a często i... oklaskami niefortunne rozstrzygnięcie sędziego – *zielona trybuna* milczy. Nie protestuje, bo nie chce kruszyć kopii w obronie przeciwnika, ale

Wspamięnienie

▶ Koniec sezonu zimowego następował kiedy p. Grocholski z robotnikami rąbali bryły lodu i ładowali lodownie, szykując na lato ochłodę dla beczek z lwowskim piwem. I tak zmieniały się corocznie sezony aż do 1939 roku. „Świ- też” przeżyła wojnę, będąc pod okupacją niemiecką kąpieliskiem dla autochtonów. Przetwała i do dzisiaj. Sowieci zachowali ją prawie w stanie „polskim”. Jedyne, na przedtem pustym placu przed stawem, zasadzili dużo drzew, nadając terenowi charakter ogrodu. Są też nowe kabinki oraz brama wejściowa, całkowicie już w stylu moskiewskim. Znikła też zielona panorama za stawem. Wulka i okolica

wzdłuż ulicy Wuleckiej zabudowana szeregiem standardowych bloków mieszkaniowych. Zburzono też małą ceglana kapliczkę z 1830 roku u stóp Wulki i ścięto wiekowe 4 lipy, które ją otaczały. Przebiega tam teraz arteria i dwutorowa linia tramwajowa od Pelczyńskiej wzdłuż koszar 6 PAC-u aż hen po Sichów.

Zatrzymałem się dłużej na terenie „Świ- tezi” i tak pod wieczór siedząc wśród drzew, dumałem o minionym czasie i patrząc na pomarszczoną taflę wody, wydawało mi się, że wśród szelestu liści i drzew słyszę słabe echo głosu p. Grocholskiego: *Szóstka do brzegu!...*

Oj, były to czasy!

też nie aprobeuje niesprawiedliwości. Więc milczy. Bo *zielona trybuna* ma swoją etykę i swoje zasady.

*Zielona trybuna* zna „Pogoń”. Zna prezesa klubu, zna działaczy. Dokładnie zna dozorcę na patalacach, pętających się gdzieś na szarym końcu. Oczywiście im wyższy poziom sportowy zawodnika, tym większa sympatia płynie ku niemu z *zielonej trybuny*. Batsch, Garbień i Wacek Kuchar – słynna niegdyś trójka środkowa ataku „Pogoni” – byli niemal bałwochwalczo czczeni i ubóstwiani przez malców z *zielonej trybuny*. Temu wręcz fanatycznemu kultowi nie przeszkadzała bynajmniej ta okoliczność, że batiary traktowali swych ulubieńców familiarnie, protekcyjnie i z reguły... „per ty”.

Niejednen ze stałych bywalców meczowych przypomni sobie z pewnością następujące zabawne zdanie:

Jak wiadomo, nasz Wacek Kuchar był strasznie przesądny. Wierzył w zabobony, gusła, znaki na niebie i ziemi i w tajemnice, o których naprawdę filozofom się nie śniło. Idąc na mecz, Wacuno liczył białe konie, rachował wojskowych i policjantów, wypatrywał pilnie kominiarzy i... garbatych. Nie daj Boże, aby mu wtedy przeszła przez drogę zakonnica lub baba wiejska z próżnym koszykiem!

Najciekawszym jednak było to, że ilekroć zbliżały się jakieś ważne zawody, Wacek na kilka dni przed startem nie golił się i na boisko wkraczał zawsze obrośnięty niczym Rinaldo Rinaldini. Raz grała „Pogoń” z jakąś drużyną austriacką. Powitanie. Oba zespoły stanęły naprzeciw siebie. Wymiana proporczyków, wspólna fotografia. Prezes „Pogoni” zaczął przemawiać do gości. Całą widownię zaległa cisza. I wtem... z wysokości środkowego kasztana rozległo się nagle żalotne i pełne głębokiego wyrzutu wołanie: *Juoj. Wacyk, aliś mi šteempu narobił! Ta czegoś si ni ugolił?*

Osiem tysięcy ludzi ryknęło momentalnie śmiechem. Ów jednak, nieznanym, zielonotrybunowy dzentelmen, tak wrażliwy na estetykę i dobre męskie maniery, zdawał się być mocno zdziwiony i stropiony tą wesołością



widowni. Wszak uwagę swoją wypowiedział on zupełnie serio i w szczerym oburzeniu. Musiał przeciw skarcić swego zawodnika za niedbalstwo w wyglądzie zewnętrznym. Bo *zielona trybuna* w swej miłości do „Pogoni” nie cofa się też przed obowiązkiem ojcowskiego napomnienia, gdy zajdzie tego potrzeba. *Zielona trybuna*... wychowuje.

*Zielona trybuna* kocha swą „Pogoń”. Kocha ją miłością szczerą, gorącą, bezinteresowną i bezkompromisową. Kocha nasz klub sercem batiara lwowskiego. Tym samym sercem, które przepojone miłością i przywiązaniem do ukochanego miasta, stworzyło przed laty czyn nieśmiertelny – obronę Lwowa.

Znany jest fakt, jak w roku 1937 w czasie zawodów piłkarskich z węgierskim „Kispesti” złamała się gałąź kasztana, a siedzący na niej widz spadł z wysokości dwu piętér i doznał skomplikowanego złamania nogi. Odwieziono biedaka do szpitala, gdzie pod narkozą założono mu pierwszy opatrunek.

I wiecie, Kochani Czytelnicy, jakie były pierwsze słowa tego małego pacjenta, gdy tylko odzyskał przytomność?

– *Proszę pana duktora, czy „Pogun” nakropiła Weigruf?* – zapytał on lekarza.

– *Ma si wi* – odrzekł medyk, odpowiadając choremu w jego rodzinnym języku.

– *A ili baniakuf?* – *Dwa do kólka.*

– *Tu fajnu!* – szepnął uszczęśliwiony malec. W tej chwili zapomniał o bólu, nie obchodziła go noga, szkaradnie w trzech miejscach złamana. Grunt, że „Pogun” nakropiła! Pacjent przymknął oczy i wkrótce zasnął z błogim uśmiechem na bladej dziecięcej twarzyczce.

Inny obrazek. W roku 1923 „Pogon” grała z jakimiś Niemcami. Ilekroć nam przeciwnicy strzelili gola, tyle razy rozlegały się na zielonej trybunie przeraźliwe gwizdy. Ano rzecz zrozumiała. Nasze kochane batiary objawiały w ten sposób swoje niezadowolenie. Ale oto nasi strzelają Niemcom bramkę. Burza oklasków na całej widowni, a zielona trybuna... gwizdże! *O co im chodzi, panie profesorze?* – pytamy profesora Wacka, który jak zwykle uwijał się niestrudzenie po bieżni, szatniach i kasach. *Nie mam pojęcia, co znaczą te gwizdy.* W pięć minut potem nasi strzelili drugą bramkę, a zielona trybuna znów zareagowała na to gwizdaniem. Tego już było za dużo zacnemu profesorowi. Wziął swą sękatą laskę i poszedł do batiarów. *Całoroczki panu profysurowi* – powitały go okrzyki z góry. – *Słuchajcie no, batiary, dlaczego wygwizdujecie „Poganiaczy”? Jeśli się natychmiast nie uspokoiacie, każę policji, aby was za łeb z drzew pościągala i nigdy więcej tam nie wpuszczę!*

– *Ta ni, prosz-pana profysora, ta my si tak ciszymy!* – *Jak to, więc dlaczego gwizdżecie? Nie możecie bić brawa?* – *Nima prawa klaskać, prosz-pana profysora. Jezd taki wielgi wiatyr, że si ubima rencami musimy tszimać za gałonz, żyby si na dót ni sypnoć. To jak my mužemy bić brawu?*

Sprawa została dokładnie i wyczerpująco wyjaśniona. Prof. Wacek wrócił na boisko, a w chwilę potem powitała zielona trybuna zwycięstwo „Pogoni”. Oczywiście, gwizdem jak ze stu lokomotywy.

A wy, czcigodni i popularni reporterzy radiowi, którzy przy każdej sposobności dzielicie się ze słuchaczami opisem przebiegu meczów i wiekopomnych wyczynów sportowych! Czy wiecie o tym, że prototypem waszym był nie kto inny, jak tylko batiar lwowski? Posłuchajcie.

Działo się to na *zielonej trybunie*. Grała „Pogon” z wiedeńską „Admirą”. Wszystkie konary, gałęzie i gałązki kasztana były dokładnie obsadzone do ostatniego miejsca. Toteż tłum tych, co nie mieli szczęścia dostać się na drzewo, obstał pień i stojąc na ziemi słuchał – pierwszego w Polsce reportażu sportowego! Sprawozdawcą był jakiś Szczepko z Gródeckiego. Słuchaczami? Tłum chłopców w wieku od 4 do 12 lat. Oto fragment:

– *Teraz Bać\* ciepił balona.*

– *Nu i co? Nu i co?* – pytają rozgorączkowani słuchacze.

– *Bać pasuji do Wacka. A Wacy?*

– *Zadziakował do Jóźka. A Jóźku?*

– *Idzie na durch i śćciela!!!* – melduje reporter, a cała grupa zastyga w oczekiwaniu.

– *Nu i co, śćcielil?* – wyrывa się któryś ze słuchaczy

– *Eeee... du gułembi...* odpowiada rozczarowany sprawozdawca, zarazem, jak widać, gołębiarz.

I reportaż potoczył się dalej. A działo się to w roku 1922, tj. gdy jeszcze radia w Polsce nie było i nawet nie śniło się nikomu o reporterach sportowych.

Lwowska „Pogon” obchodzi jubileusz 35-lecia swej działalności. Cicho szumia kasztany wzdłuż boiska za rogatką stryjską. Doszła je wieść, że wkrótce zostaną usunięte. Że sięgnie po nie piłka i siekiera drwali. Względy urbanistyczne. Podobno nawet wojskowe. Regulacja miasta. Przebudowa ulicy... Jedno maleńkie pociągnięcie grafionem w miejskim biurze rozbudowy i zapadł wyrok. Straszny i nieodwołalny. Ha, trudno. Wszyscy uznają konieczność. Wszyscy przyznają słuszność. Starzy bywalcy „Pogoni” kiwają smutno głowami. Trudno. I tylko biedne kasztany nie mogą zrozumieć, dlaczego im się krzywdę wyrządza. Dlaczego odbiera się życie im, które w ramionach swoich wykołysały tylu przyszłych i sławnych sportowców. Które nauczyły młodzież miłować sport i „Pogon”...

– *Stare już jesteśmy* – myślą wiekowe drzewa – *to może i ... czas już na nas... Ale co się stanie z naszymi kochanymi batiarami, z naszą zieloną trybuną?...*

I to, na pewno, jest największą troską tych sędziwych, *poganiackich* kasztanów.

\* Chodzi oczywiście o Batscha.



## *Lwów*

(z tomiku wierszy *Koło życia*)

Kolebka śmiechu  
skarb moich lat dziecińczych  
polot i elegancja  
esprit ulicznika  
przyjaźń braterstwo  
pogoda i jasność  
światło

między zaułkami  
urok podwórek  
ogrody pełne kwiatów  
kolor i zapach  
dni bez trosk  
pełne zabaw

Naokoło szalała wojna  
dwóch okupantów bandytów  
i trzeci za ich plecami  
a my nie przerywaliśmy  
naszych igraszek  
psikusów  
wyśmiewania złej doli  
wierzyliśmy  
że w końcu nic się nie stanie  
nieodwracalnego  
i Lwów będzie zawsze  
a my w nim

# POEZJA

## *Jeszcze chwila*

z tomiku „*Koło życia*”

Jeszcze trochę  
i koniec zabawy  
świat będzie dalej istniał  
kręcił się dokoła  
słońce księżyc gwiazdy  
deszcze i pogody  
zimy i lata  
w wiecznym tańcu trwania  
rzeki będą płynęły  
burzyły się morza  
budziły wulkany  
i piętrzyły góry  
zmieniają się pokolenia  
mody i zwyczaje  
wstaną miasta nowe  
hity nowych czasów

i nikt nie zauważy  
że kogoś ubyło

## *Sam na sam*

z tomiku „*Wędrować po obłokach*”

Sam na sam z miastem  
które jest moim cieniem  
kolcem tkwiącym głęboko  
w nie zagojonej ranie

póki tu jestem – jestem sobą  
najbardziej

Było już tyle miast  
które zachwycały otumaniały  
wabiły obiecywały smakowały

póki tu jestem – jestem sobą  
z najdalszych poranków  
od wczesnego świtu  
od pierwszego spojrzenia

Lwów

Jan Parandowski

# CORSO

*Czytelniku! Niniejszy tekst należało przypomnieć przed tym, który znalazł się jako Proza w numerze 3 z ubiegłego roku. Proponujemy więc: przeczytaj teraz wspomnienie Jana, a potem wróć do tamtego numeru, który napisała Irena: „Poznałam Jana”.*

*Ten tekst pochodzi z książki J. Parandowskiego „Akacja” (Czytelnik, 1967).*

Nieraz obijało mi się o uszy słowo: corso. Ten i ów z kolegów rzucił je z nienacka, plotąc byle co o swoich sukcesach sercowych; znajome panny, moje rówieśniczki, które z rodzicami przychodziły do nas na przyjęcia, wymieniały je wśród szeptów i s tłumionych śmiechów. Wiedziałem oczywiście, że oznacza ono ulicę Karola Ludwika\* i Akademicką, lecz był to świat zakazany. Można się było chyłkiem przemknąć w tę stronę i zniknąć, zanim złośliwy traf wywołał spod ziemi któregoś z naszych profesorów. Ale i zupełnie obcy profesor obdarzony bystrym wzrokiem bywał niebezpieczny: mógł na czapce odczytać cyfrę naszego gimnazjum i zatroszczyć się, jaki to ważny powód skłonił chłopca do tak dalekiej wędrówki.

Skarżyliśmy się, żartowaliśmy z tych ograniczeń, mówiliśmy, że ugniata nas ta osobliwa forma poddaństwa, jesteśmy *regioni adscripti* – „przypisani do swojej dzielnicy”. I mnie groziło przyłapanie w smudze corsa, może nawet częściej niż innym, bo zaglądałem tam co najmniej raz na tydzień, i to w niedzielę, w najgroźniejszym momencie, kiedy po „dwunastówce” w katedrze zalewał chodniki tłum wesoły i urzekający. Moje intencje były inne niż kolegów, którzy pragnęli zachłysnąć się widokiem panien i szelestem ich spódniczek – mnie ciągnęły wystawy księgarskie – Altenberga na Karola Ludwika, Połonieckiego na rogu Tańskiej i Akademickiej. Ale któż by mi uwierzył! Profesor Strutyński, matematyk, odtrącił te moje księgarnie złośliwym uśmiechem, a on właśnie otarł się o mnie na Akademickiej, co prawda już o dobre sto kroków od Połonieckiego.

Jak to się często zdarza w pedagogii, wychowawcy sami przez ostrzeżenia, zakazy, nagany budzą dotąd uśpioną ciekawość. Tak było i ze mną. Zauważyłem w końcu, że w ulicach corsa są inne rzeczy godne widzenia oprócz książek wystawowych. I wracałem ze swoich niedzielnych wypraw ze smakiem zakazanego owocu w ustach, o których zacząłem myśleć, że są stworzone do pocałunków.

Lecz oto nadszedł czas matury, świat zamknął się w murach gimnazjum i w czterech ścianach mojego pokoju, wkrótce wprost z mundurka szkolnego, jak z poczwarki motyl, wyleciałem w świat. Pojechałem z matką do Rzymu i prawdziwe corso zaćmiło to nasze rodzinne. Powitałem je w jesieni z miną triumfatora. Dawał mi do niej prawo zakupiony na rzymskim corso bambusowy kijek, ozdobiony srebrną główką fauna. Ta laseczka ściągnęła na mnie uwagę. W słońcu wrześniowym mój faun zuchwale połyskał i każdy przechodzień najpierw jego spostrzegł, po czym i mnie obrzucił ciekawym spojrzeniem.

Były to czasy, kiedy nic nie przemijało, odtrącone pośpiechem, roztargnieniem, gryzącą troską.

Na corso nie było fraszobliwych twarzy – wszystkie uśmiechnięte, rozjaśnione oczami, wyczekującymi przyjemnych spotkań wesołych przygód, krzyżowały się spojrzenia młodzieńców i panien, każde mogło zakwitnąć miłością. Inaczej niż na rzymskim corso nie widziałem w nich żywych kopii rzeźb i obrazów, nie było tutaj, jeśli nie liczyć pomników – Fredry siedzącego na kamiennym cokole u wylotu Akademickiej i popiersia Kornela Ujejskiego pod Kasynem. Nie było również znajomych twarzy. Lecz miesiąc później wszystko się zmieniło.

Zaczął się rok uniwersytecki i zaludnił corso tłumem kolegów i profesorów. Z tych ostatnich dwaj pojawiali się najczęściej – filolog Witkowski, zawsze zamyślony, i archeolog Hadaczek, prędko i nerwowo w ruchach, przenikający tych, co go mijali, niespokojnym spojrzeniem ciemnych oczu.

Niekiedy przesuwiał się własną brudą, bo powszechny szacunek zmiatał z jego drogi przechodniów – rudobrody Twardowski, filozof, „wychowawca pokoleń”, jak się tego dnia właśnie natrząsał jeden ze studentów, skarcony za spóźnienie wobec ol-

brzymiej sali kina „Apollo”, gdzie profesor wykladał etykę.

Inny z naszych filozofów, Mściław Wartenberg, wtrącił mnie w zażyłość z restauracją Musiałowicza na Akademickiej. Nie miał w tym, oczywiście, żadnego udziału, nigdy by się nawet tego nie domyślił. Powodem była godzina jego wykładu: 2 po południu. Hadaczek wykladał od 12 do 1, nie miałem więc czasu pójść do domu na obiad. Matka dawała mi dwie korony, które miałem przejeść u Musiałowicza.

Kelnerzy, zaskoczeni i raczej nieufni z początku, prędko oswoili się z tym niecodziennym klientem, a najstarszy z nich wziął mnie pod swoją opiekę. Doradzał najpewniejsze potrawy i przynosił ślicznie nalana, z szerokim pasem piany, szklanekę piwnera. Nie umiałbym powiedzieć, jakie było towarzystwo przy innych stołach, ze skrucłą wobec wzgardzonej rzeczywistości muszę wyznać, że go po prostu nie dostrzegałem między Fidaszem, który mnie zajmował na wykładzie Hadaczka, a Kantem, z którym miałem się spotkać w sali Wartenberga.

Pod wieczór, gdy już były zakończone zajęcia na uniwersytecie, nie kierowałem się w stronę corsa, wchodziłem w boczne ulice: Koralnicką, Frydrychów, wreszcie Ossolińskich, która prowadziła mnie do Słowackiego, a ten przyjaciel drzew i kwiatów

do Ogrodu Jezuickiego. Miał on dla mnie urok o każdej porze, w słońcu i w deszczu, w zieleni i w śniegu. Była w owym roku zima śnieżna, Ogród Jezuicki stał się wielką białą górą, najeżoną drzewami, tak samo otulonymi śniegiem, mówiłem sobie: pejzaż księżycowy, i zdarzyło mi się parę razy w noc pełni wybiec z domu i wejść w zaczarowany świat niepojętej ciszy. I tak jak powstał niespodzianie, tak zniknął, a pozostawały tylko wrażenia, które przenikały w najskrytsze zakamarki młodej duszy, karmionej poezją i filozofią.

I znów w jakiś czerwcowy dzień z rodzinnego corsa wbiegłem na rzymskie Corso, tym razem sam, oszołomiony niezależnością i Rzymem, z którym już byłem w poufalej zażyłości. Tak daleko zostawiłem za sobą czas teraźniejszy, że nie zdołał się utrzymać ani w myśli, ani w pamięci fakt zabójstwa arcyksięcia w Sarajewie. Któż by się troszczył o jednego Habsburga tu, gdzie każdy krok potraça o imiona dzwonne w słońcu, a Santa Maria in Aracoeli owija go wstęgą swych rozkołysanych spizów.

Idę w jego stronę z Piazza del Popolo i na jakimś rogu wita mnie znajomy uśmiech. Był tu w zeszłym roku, wypytuje o matkę, z którą się zaprzyjaźnił, mówię, że jest na Grado. Hm, Grado... Zamyśla się, rozważa, że może warto tam pojechać, tak



samo skubie bródkę i tak samo patrzy przez żółtozielone okulary, które zachował z zeszłego roku, kiedy takie były tu modne. Ale ta heca z arcyksięciem... On jeden troszczy się o Habsburga i nudzi mnie swoimi przewidywaniami. Martwi się nawet o mnie: że mogą mnie wziąć do wojska, wymienia nazwiska różnych dygnitarzy i zastanawia się, kto by z nich mógł mnie w razie czego „wyreklamować”.

Sam już nie wiem, jak się go pozbyłem, może po prostu tłum nas rozdzielił. Lecz w ten dzień wrześniowy, który się wyplątał z kłębowiska niezwykłych dni i zdarzeń, stał na naszym rodzimym corso, na progu swego sklepu, jakby na mnie czekał.

– Jak widzę, ominął pana mundur jego apostołskiej mości, która nas tak prędko opuściła.

Nie było żalu w jego głosie. Z wyraźną sympatią odprowadzał wzrokiem oficerów rosyjskich, którzy pojedynczo lub gromadami przechadzali się po corso.

– Ma pan urozmaicenie w monotonii życia.

Dla mnie był to czas jałowy. Nie tylko uniwersytet był zamknięty, ale i z jego biblioteki nie można było korzystać. Stawałem bezradny pod jej bramą w oczekiwaniu, że ktoś ją otworzy. Kręcąc się jeszcze dookoła wracałem w stronę corsa. I tu spotkałem mojego profesora archeologii, Karola Hadaczka. Był dziwny. Zaczął mówić o mojej rozprawce (główny temat Colosseum), którą mu złożyłem na wiosnę jako pracę seminaryjną.

– Przyznałem panu nagrodę – dwieście koron.

Parsknął śmiechem. Nie może mi jej teraz wypłacić, a może nigdy. I zaczął nerwowo mówić o wojnie, o zajęciu Belgii, o zwycięstwach Niemców z jednej strony, Rosjan z drugiej, o chaosie, w który zapadł się świat rozprawek archeologicznych, seminariów i koron.

– Korony! korony!

Wolał głośno i wybuchał krótkim, nerwowym śmiechem. Dziś myślę, że może widział, jak spadają korony, jedna po drugiej. Na cztery lata wcześniej. Zaniepokoił się wreszcie moją obecnością, zapytał, czy nadrabiam stracony czas własnymi studiami. Udało mi się wtrącić parę słów o niedostępnej bibliotece uniwersyteckiej.

– A jakiej książki panu potrzeba?

Z nagłej mgły, która na mnie spadła, wyluskałem dla siebie samego niespodzianą odpowiedź:

– Wolfa – *Prolegomena ad Homerum*.

– Niech pan tu poczeka.

Pobiegl do biblioteki, zapukał do zamkniętych drzwi, chyba w umówiony sposób, bo ktoś mu zaraz otworzył i profesor znikł na pół godziny. Gdy wrócił, podał mi cienki i lekki tomik, który przyjąłem z niedowierzaniem. Były to jednak słynne *Prolegomena*, a wyobrazałem je sobie jako potężną księgę.

Podziękowałem i przyrzekłem zwrócić za tydzień.

– O, może być i później. To takie lekkie, że może pan przyjść na corso i znów się kiedyś spotkamy.

Nie śmiałem powiedzieć, że mu odniosę do domu, nie znałem jego adresu. Nagle uścisnął mi rękę i poszedł szybko, jakby się bardzo spieszył. Z Wolfem w kieszeni raz jeszcze przeszedłem corso, a potem przysiadłem na skwerku po drugiej stronie, na tej samej ławce, na której zawsze zaczynałem czytać książkę dopiero co wziętą z wypożyczalni Goldflussówny. Z pożółkłych stronic płynęła spokojna, potoczysta łacina Wolfa niosąc przywiedle od wieku myśli. Z klonu, pod którym siedziałem, spadł piękny złoty liść, włożyłem go między kartki, może jeszcze tam tkwi, oszczędzony przez czas i obojętność, jaka od wielu lat chroni Wolfa od natrętów.

Wolf nie odebrał mi wiary w Homera, zamknąłem jego książkę z wyrozumiałym uśmiechem i z poczuciem spełnionego obowiązku: każdy filolog powinien być znać to dziełko, które spłodziło całą bibliotekę w ciągu wieku XIX. A nie wiedziałem, bo jakże mogłem wiedzieć?, że w tym samym czasie, kiedy Niemcy kierowali swe działa na Paryż, Victor Berard mierzył w Wolfa, pisząc swą książkę pod zjadliwym tytułem *Un mensonge de la science allemande*, gdzie wykladał, że *Prolegomena* Wolfa są plagiatem wcześniejszej rzeczy francuskiej. Przez wiele tygodni krążyłem po corso z Wolfem w kieszeni, na próżno wyglądając profesora Hadaczka. Nigdy go już nie miałem spotkać. *Prolegomena* odniosłem do biblioteki sam, ale w pięć lat później, po wszystkich przygodach wojennych, w wesołym nastroju,



w jaki wprowadziła mnie właśnie przeczytana książka Berarda.

Był to już inny świat – w promieniach wolności, w trzepocie biało-czerwonych flag, które co dzień powiewały na wszystkich budynkach, jakby odtąd nie miało być w kalendarzu innych dni oprócz świąt, świat wesoly, rozśpiewany i roztańczony, kobiety zrzuciły długie suknie, jakby wszystkie zamieniły się w podlotki. Idąc na uniwersytet przez corso, całe w uśmiechach, szepciach, błyskach oczu, miałem nadzieję, że dziś na pewno sam Witkowski się rozchmurzy i rzuci nam jakiś żart z wysokości katedry.

Lecz on, zawsze oporny, wybrał na seminarium tę pieśń z *De rerum natura*, która mówi o śmierci, i naszą bujność okrywał całunem nieskazitelnych zdań łacińskich swego uczonego komentarza, jakby odprawił egzekwie.

Ale minęły czasy, kiedy z barwnego tłumy nie umiałem wyłowić innych postaci prócz paru profesorów, literatów, dziennikarzy, mniej lub więcej znajomych. Teraz... Oto ona. Jasna uśmiechem twarz, wiotka postać, niesiona sprężystym ruchem nad podziw pięknych nóg, z długimi warkoczami połyskującymi złotem, spiętymi w tyle czarną kokardą. Niosła albo książki, gdy wracała z gimnazjum, albo nuty, gdy szła do konserwatorium. Gdy ją tam odprowadzałem, serce mi drżało, bo na tej samej Chorążczyźnie, naprzeciw konserwatorium, stał dom, w którym się urodziłem, i jego parter patrzył na ulicę tymi samymi oknami, skąd moje dziecięce oczy łowiły świat nieznany włócząc się spojrzeniem po nadłupanych płytach chodnika, po twarzach przechodniów, po fasadach domów, po dachach i kominach. W tej podniebnej strefie urzekły dziecko dwa łabędzie na szczycie wielkiego domu, tajemniczego, bo, jak mówiono, tam nikt nie mieszka. Po latach stanęło tam kwatery szczęście. Przecież to tutaj w jednej z sal wykładałem historię dramatu, a z trzeciej ławki patrzyły na mnie oczy, które prędzej niż myśl wysnuwały ze mnie słowa.

Wszystko się dokonało w obrębie kilku ulic: św. Mikołaja, Akademickiej, Chorążczyzny, szliśmy ku swemu szczęściu tą samą drogą, po której biegły nasze lata dziecięce, i nikt nam nie odbierze wiary, że idąc z uniwersytetu zatrzymywałem się przed księgarnią, gdzie na schodkach siedziała

plowowłosa dziewczynka, i że gładziłem ją nieraz po główce, tej samej co teraz, w dojrzalej urodzie, pochyła się na moje ramię – ta dziewczynka huśtała się na łańcuchu między kamiennymi słupkami wzdłuż pochyłości wiodącej do uniwersytetu i zamyślonemu studentowi rzuciła figlarne spojrzenie tych samych jasnych oczu, co teraz patrzę na mnie z powagą i wzruszeniem. Właśnie oznaczyliśmy datę naszego ślubu.

Wyszedłem z domu o piątej rano, bo ślub miał być o szóstej. Był cudny letni dzień, niebo błękitne, cisza w powietrzu. Ta sama droga, która przez osiem lat prowadziła mnie do gimnazjum – pod akacjami, wzdłuż muru Sacre Coeur, przez plac św. Jura, gdzie znałem każdą ławkę we wszystkich pęknięciach i zmarszczkach. Gimnazjum zamknięte, puste, wakacyjne. Przez kratę w ogrodzeniu posłałem wzruszone spojrzenie tujom stojącym przed bramą. A dalej – drogą, którą biegłem do uniwersytetu – przez Ogród Jezuicki, przez ulicę Słowackiego, Ossolińskich, Koralnicką, okrążam pomnik Fredry (na głowie z brązu ledwo rozbudzony gołąb dziobem przeczesuje pióra) i oto już – kościół św. Mikołaja na wzgórzu, o krok od uniwersytetu.

Irena miała kostium z surowego jedwabiu, kapelusz owinięty białym muślinem, w rękę bukiet kremowych róż. Kościół był pusty. Ślub nie trwał długo, ta najuroczystsza chwila była istotnie chwilą – dźwiękiem wymówionych słów, połyskiem obrączek, perłą łyż, która zjawiała się na rzęsach Ireny.

I jej cudownym uśmiechem, gdy westchnęła i wzięła mnie pod ramię. I wyszliśmy oszołomieni, milczący z mroku kościoła na słoneczny dzień.

U wylotu corsa stała dorożka. Wsiedliśmy, kazaliśmy się wieźć na Domsa\*\*. Dorożkarz przyjrzał się nam uważnie, uśmiechnął się, zaciął konia z rozmachem i przejechał przez całe corso, puste o tej godzinie.

\* My pamiętamy już tę ulicę jako Legionów...

\*\* ul. Domsa 5, to dom w którym mieszkał w swych młodych latach Jan Parandowski – patrz CL 3/13, s. 45.

# KULTURA NAUKA

## Nowy rok nauki w Brzuchowicach

Symposium oraz inauguracja roku akademickiego 2013/2014 w Instytucie Teologicznym im. św. Józefa Bilczewskiego we Lwowie

**Relacje pomiędzy Uniwersytetem Papieskim im. Jana Pawła II w Krakowie a Instytutem Teologicznym im. św. Józefa Bilczewskiego i Seminarium Duchownym obrządku łacińskiego we Lwowie mają już swoją historię, a z każdym rokiem nabierają intensywności. Sprzyjają temu nie tylko doświadczenia i wspólne losy w minionych dziesięcioleciach – w innej co prawda konfiguracji geopolitycznej – ale nade wszystko współczesna kooperacja na gruncie badawczo-naukowym czy dydaktycznym. Od kilkunastu bowiem lat pracownicy nauki naszej uczelni prowadzą tam wykłady i seminaria, a studenci-alumni uzyskują w Krakowie dyplomy magistrów teologii. Niebawem też zostanie sfinalizowana formalna umowa o współpracy pomiędzy uczelniami krakowską i lwowską.**

Stało się już coroczną tradycją organizowanie we Lwowie uroczystych inauguracji roku akademickiego, poprzedzonych konferencjami naukowymi z udziałem zagranicznych referentów.

Tegoroczne sympozjum opatrzone tytułem *Uniwersytet jako miejsce spotkania nauk* i odbyło się ono 18 października 2013 r. przy dobrej frekwencji słuchaczy. Tym razem wystąpili referenci z Krakowa, Niepokalanowa, Lwowa, Rzymu i Torunia. Piszący te słowa zaprezentował temat: *Wydział Teologiczny Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie 1918–1939 i jego kontynuacja*. Prelegent ukazał kondycję fakultetu u progu II RP,

strukturę organizacyjną, najwybitniejszych profesorów, osiągnięcia dydaktyczno-naukowe i organizacyjne, *genius loci* archidiecezji lwowskiej skutkujący napływem studentów niemal z całej Polski. Formalnie kres istnieniu Wydziału Teologicznego położyła sowiecka likwidacja jesienią 1939 r., ale *de facto* studenci teologii nadal zdobywali wykształcenie do roku 1945 w ramach tajnego uniwersytetu w murach lwowskiego Seminarium Duchownego, choć już bez dyplomów magisterskich. Po przymusowej ewakuacji ze Lwowa do Kalwarii Zebrzydowskiej w 1945 roku studenci kontynuowali formację intelektualną, aż do decyzji polskich władz komunistycznych o likwidacji instytucji w roku 1950. Aktualnie funkcjonujący od kilku lat we Lwowie Instytut Teologiczny im. św. Józefa Bilczewskiego stanowi filię KUL. Z prawnego punktu widzenia nie może być uważany za kontynuację przedwojennego Wydziału Teologicznego UJK, jednak powinien uważać się za ideowego spadkobiercę byłego fakultetu uniwersyteckiego.

Emerytowany wykładowca teologii dogmatycznej na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim JP II o. prof. Celestyn Napiórkowski OFM-Conv. (Niepokalanów) wygłosił refleksję *Mój Wydział Teologiczny* nawiązując do środowiska naukowego w kręgu KUL. Związany od ponad 40 lat z najstarszą polską uczelnią katolicką wybitny mariolog, a jednocześnie propagator ruchu ekumenicznego, członek wielu prestiżowych gremiów z kręgu posoborowego dialogu katolicko-luterańskiego, ceniony nauczyciel akademicki, po przejściu na emeryturę podjął wykłady między innymi w lwowskim Instytucie Teologicznym. Jego wystąpienie miało charakter wspomnieniowy, z wyraźnymi sugestiami odnośnie do zadań i perspektyw rozwojowych współczesnych uwarunkowań uprawiania teologii w ramach wyższej uczelni.

Z kolei lwowskie ośrodki akademickie reprezentowało dwóch prelegentów. Prof. dr hab. Roman Szust (Lwowski Narodowy Uniwersytet im. Iwana Franki) zapoznał słuchaczy z tematem *Rozwój pedagogiki na Uniwersytecie Lwowskim*. Wykład stanowił częściowy zarys problemu na przestrzeni dziejów uczelni, ze szczególnym uwzględnieniem XIX i XX wieku, kiedy pedagogika, pełniąc dotąd pomocniczą funkcję na Wydziale Filozoficznym, awansowała do rangi samodzielnej

dyscypliny uprawianej na kilku fakultetach. Pedagogikę wykładano również na Wydziale Teologicznym w językach polskim i ukraińskim, osobno dla studentów-alumnów obrządku łańciskiego oraz grekokatolickiego. W latach 1919–1933 funkcjonowała nawet Katedra Katechetyki i Pedagogiki, zlikwidowana wskutek reformy Jędrzejowiczowskiej.

Drugi lwowski uczony prof. dr hab. Mieczysław Grzegocki (Lwowski Narodowy Uniwersytet Medyczny im. Daniela Halickiego) swoje wystąpienie zatytułował *Problemy personalizacji i humanizacji wyższej medycznej oświaty*. Prelegent z polskim rodowodem, pierwszy prorektor wspomnianej wyższej uczelni, członek zwyczajny Papieskiej Akademii „Pro Vita”, aktywnie uczestniczący w życiu polskiej wspólnoty w środowisku lwowskim, wskazał na potrzebę troski o humanitarny wymiar zarówno edukacji medycznej, jak i całej służby zdrowia. Już bowiem na etapie edukacji medycznej adepci sztuki lekarskiej winni odkrywać, a w ślad za tym ugruntować świadomość wyjątkowego postępowania służby medycznej w społeczeństwie.

Inny prelegent, przybyły z Rzymu ks. dr hab. Paweł Malecha, substytut promotora sprawiedliwości w Najwyższym Trybunale Sygnatury Apostolskiej i pracownik naukowy Uniwersytetu Gregoriańskiego, przedstawił zagadnienie *Relacje między Kościołem katolickim a wspólnotą polityczną w świetle nauczania Soboru Watykańskiego II*. Przypomniał znany i wielokrotnie dyskutowany problem miejsca Kościoła w świecie współczesnym, a tym samym jego koegzystencji z instytucją państwa, na terenie którego funkcjonuje.

Ostatni wykład ks. dr hab. Dariusz Koteci, prof. UMK i dziekan Wydziału Teologicznego, poświęcił *Studium Biblii na uniwersytecie*. W trakcie wystąpienia zadał retoryczne pytanie o zasadność studium biblijnego w murach państwowego – nie kościelnego bądź katolickiego – uniwersytetu. Jak można było przewidzieć, odpowiedział na nie pozytywnie, tym bardziej że sam specjalizuje się w biblistyce. O wiele ciekawsze byłoby wszakże stanowisko w tej kwestii bezstronnego świeckiego pracownika naukowego toruńskiej lub innej państwowej uczelni, niezaangażowanego emocjonalnie i zawodowo w ową kwestię.

Dopełnieniem intelektualnych przeżyć prelegentów i słuchaczy wspomnianego sympozjum stała się uroczysta inauguracja roku akademickiego 2013/2014 w Instytucie Teologicznym im. św. Józefa Bilczewskiego, która odbyła się następnego dnia, 19 października. Celebrowano ją kilka dni przed liturgicznym wspomnieniem patrona (23 października), przez dziewięć lat związanego pracą dydaktyczno-naukową z Uniwersytetem Lwowskim, a kolejne 23 lata funkcją metropolity lwowskiego z Małopolską Wschodnią. Instytut Teologiczny, powołany do życia przez aktualnego pasterza archidiecezji lwowskiej abp. Mieczysława Mokrzyckiego w styczniu 2009 r., prowadzi studia magisterskie na kierunku teologia, adresowane zarówno do alumnów Seminarium Duchownego, jak również do laika. W bieżącym roku akademickim status studenta ma 25 kleryków z trzech diecezji (lwowskiej, charkowsko-zaporoskiej i łuckiej), z czego 4 na kursie propedeutycznym. Natomiast jeśli chodzi o świeckich, indeksem legitymuje się niemal drugie tyle, bo 48 osób, z czego 7 na 1 roku.

Funkcję dyrektora Instytutu Teologicznego sprawuje z wielkim zaangażowaniem ks. dr Jacek Elias, kapłan diecezji sandomierskiej, związany uprzednio z Seminarium Duchownym w Gródku Podolskim.

Uroczystość inauguracyjną otworzyła msza święta koncelebrowana przez abp. Mieczysława Mokrzyckiego. Uczestniczyli w niej nie tylko miejscowi studenci, ale również alumni Seminarium Duchownego w Sandomierzu zaproszeni przez dyrektora Instytutu. Kolejne punkty programu obejmowały: powitanie gości, wykład inauguracyjny ks. dr Jana Biedronia (Sandomierz): *Oczekiwania Kościoła wobec kapłana i alumna w posłudze biednym i potrzebującym pomocy*, immatrykulację studentów 1 roku, wręczenie studentom nagród za osiągnięcia na-



ukowe ufundowanych przez konsula generalnego RP we Lwowie oraz przemówienia gratulacyjne gości. W grupie tych ostatnich jako delegat Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie wystąpił niżej podpisany, przypominając wielowiekowe więzi Krakowa ze Lwowem na gruncie naukowym i kościelnym. Całość dopełniło przemówienie lwowskiego metropolity, a później zbiorowa fotografia przed gmachem uczelni.

Zarówno konferencja naukowa, jak i czwarta już z rzędu inauguracja roku akademickiego lwowskiej katolickiej uczelni dowodzą prężności formującego się we Lwowie po latach komunistycznej próżni lokalnego środowiska naukowego pod egidą Kościoła obrządku łacińskiego. Poszerzana z roku na

rok kadra miejscowych duchownych, absolwentów studiów specjalistycznych poza granicami Ukrainy pozwala żywić nadzieję na reaktywowanie przedwojennego Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Jana Kazimierza nie tyle już w murach obecnej ukraińskiej uczelni im. Iwana Franki, ile raczej na gruncie lokalnego Kościoła. W procesie tym uczestniczą liczni wykładowcy zapraszani z wielu polskich ośrodków akademickich, wydatną pomocą służą pomnażająca wciąż swoje zbiory biblioteka oraz periodyk „Studia Leopoliensia” (t. 1–6), a jedyną bolączką wydaje się słaby napływ studentów związany z sytuacją demograficzną Kościoła rzymskokatolickiego archidiecezji lwowskiej.

ks. prof. dr Józef Wolczański

## Kronika

◆ Już kiedyś pisaliśmy w CL, że nasi Rodacy we Lwowie założyli sobie *Szkołę Plastyczną* pod nazwą „*Wrzos*”. Pomógł w tym warszawski (ściślej: mokotowski) Uniwersytet

Trzeciego Wieku, później jednak szkoła połączyła się – dzięki prof. Mieczysławowi Maławskiemu – z Lwowskim Towarzystwem Sztuk Pięknych (przy ul. Badenich), którego profesor jest prezesem. W jego imieniu kierownikiem ok. 20-osobowej grupy uczestników jest bardzo lubiana prof. Irena Strilciw.

Ostatnio Towarzystwo wydało *Kronikę Szkoły Plastycznej „Wrzos” – jubileusz 10-lecia działalności 2003–2013*. Ładnie wydana książeczka ma (z okładkami) 48 stron, w tym 19 kolorowych, każda poświęcona jednemu z aktualnych członków Szkoły. Na kolejnych stronach są obrazki wykonane przez te osoby. Dalsze 5 kolorowych stron to sceny zbiorowe z życia szkoły. Pozostałe 24 strony to teksty doty-

czące historii szkoły oraz 40 plenerów i wystaw zbiorowych i indywidualnych.

Kim są uczestnicy? To najczęściej... inżynierowie różnych specjalności, a dalej lekarze, psycholodzy, pielęgniarka, księgowa, wychowawczyni polskich dzieci w przedszkolu – razem 15 pań i 4 panów. Pośród dzieł malarstwa i grafiki (całkowity brak rzeźby!) najbardziej ulubione są kwiaty i krajobrazy. Zwraca uwagę twórczość dwóch pań: Danuty Hnatyk i Haliny Makowskiej. Pierwsza jest lekarzem, druga pielęgniarką.

◆ W Przemyślu, któremu w naszych czasach przypadła szczególna rola dzisiejszego miasta kresowego oraz stania na straży pamięci o naszych Ziemiach Wschodnich, odbyła się trzydniowa uroczystość patriotyczna. Modlono się za prawie stuosobową polską elitę, która straciła życie w katastrofie pod Smoleńskiem, za 20-tysięczną masę polskich oficerów, którzy zginęli w Katyniu i innych sowieckich obozach, oraz za niezliczone ofiary deportacji, a wreszcie wymordowanie kilkudziesięciu tysięcy Polaków w wioskach Wołynia i Małopolski Wschodniej.

Kulminacjami uroczystości była solenna msza św. oraz **poświęcenie Ronda Kresowian**. Autor relacji w „Na Rubieży” J. Borzęcki pisze, że na rondzie rozsypano garść ziemi zebranej z mogił polskich bohaterów, w tym Obrońców Zadwórze.



# Z TAMTEJ STRONY

## OKOPY ŚW. TRÓJCY POWSTAJĄ Z RUIN

Chyba co drugi Polak, przyjeżdżający na Podole, odwiedza opiewane przez Zygmunta Krasieńskiego Okopy św. Trójcy pod Kamieńcem Podolskim. Warto odwiedzić Okopy, tym bardziej że położone są prawie na trasie do Chocimia, obok Żwańca z jego kościołem ormiańskim i ruinami zamku. W Okopach panuje atmosfera romantyczno-rycerska. To właśnie stąd hetman wielki koronny Stanisław Jabłonowski z rozkazu Jana III Sobieskiego robił wypadły przeciwko Turkom, ufortyfikowanym w zajętych przez nich Kamieńcu i właśnie tu dzielnie walczyli przeciwko przeważającym siłom rosyjskim konfederacji barscy Kazimierza Pułaskiego.

Okopy św. Trójcy to obóz warowny, który jako tako się jeszcze zachował. Od strony drogi na Borszczów widoczne są wielkie wały, na których w okresie międzywojennym wykładano z kwiatów herb Rzeczypospolitej, obok stoi Brama Lwowska. Prawie identyczna – Kamieniecka – znajduje się przy wyjeździe z obwarowań w kierunku Kamieńca. Obecnie jest to centrum miejscowości. Dodam jeszcze, że nad Zbruczem zachowała się baszta Pułaskiego, niestety budowla jest w ruinie. Sercem twierdzy był kościół pod wezwaniem św. Trójcy, ufundowany razem z fortyfikacjami przez Jana III Sobieskiego. 8 marca 1769 roku zginęli w nim ostatni konfederaci, którym nie udało się przeprawić wraz z Pułaskim

na turecki brzeg Dniestru. Żołnierze generała Lwa Izmailowa, według niektórych przekazów, wymordowali leżących w kościele rannych, a według innych – podpalił świątynię razem z nimi. W 1903 roku Towarzystwo Miłośników Historii odnowiło kościół wraz z bramami, które przez cały okres austriacki stały w ruinie. Wtedy na fasadzie ustawiono tablicę z datami: „1693–1769–1903”.

Świątynię dekorował malarz Sozański. W 1945 roku UPA spaliło świątynię i od tego czasu nie była odnawiana.

Podczas pobytów w Okopach największy żal wywoływał we mnie stan kościoła – ruina z zapadniętym dachem służyła miejscowym jako magazyn siana. W tym roku mieszkaniec Okopów, Wasyl Kryworuczko, mieszkający tuż obok kościoła, wspólnie z proboszczem katedry kamienieckiej ks. Romanem Twarogiem zainicjowali prace renowacyjne w świątyni. Pan Wasyl zaczął zbierać datki na odnowienie kościoła, z których nakryto najpierw prezbiterium świątyni, a wkrótce nowym dachem zabezpieczono całość. Obecnie pracownicy z Kamieńca szykują się do tynkowania budowli wewnątrz, naturalnie w taki sposób, aby nie uszkodzić fresków Sozańskiego. Chociaż w Okopach nie ma już katolików, świątynię przekazano jednak kurii i wyznaczono kapłana.

Tekst pochodzi z artykułu *Byłe nie zapeszyć*, „Kurier Galicyjski” nr 21/2013



# List od Federacji Organizacji Polskich



Lwów–Kijów,  
24 lutego 2014 r.

Federacja Organizacji Polskich na Ukrainie wyraża głębokie współczucie wszystkim rodzinom

zamordowanych w Kijowie i innych miastach Ukrainy podczas ostatnich tragicznych wydarzeń. Oddajemy hołd ofierze krwi Bohaterów Majdanu i pogrążeni w bólu modlimy się za wieczny spokój ich dusz. Pamięcią i modlitwą ogarniamy również wszystkich rannych, a także tych, których los do dziś jeszcze pozostaje nieznanym.

Jako obywatele Ukrainy narodowości polskiej wyrażamy nadzieję, że przemiany rozpoczęte pokojowym protestem Euromajdanu i okupione krwią jego heroicznych obrońców zaowocują budową państwa w pełni demokratycznego i szanującego godność oraz wolę swoich obywateli. My, Polacy z Ukrainy, podobnie jak nasi ukraińscy członkowie rodzin, sąsiedzi, przyjaciele i koledzy chcemy żyć w bezpiecznej, demokratycznej Ukrainie, która jest częścią europejskiej rodziny wolnych narodów. Deklarujemy pełne wsparcie dla demokratycznie wyłonionych władz oraz gotowość wzięcia współodpowiedzialności za pomyślny rozwój Ukrainy w jej obecnych granicach.

Historia na zawsze złączyła nasze narody. Polacy i Ukraińcy od wieków mieszkali obok siebie, zakładali rodziny, pomagali w budowie swoich domów, rozwijali miasta i modlili się do tego samego Boga.

W naszej wspólnej historii nie brakuje jednak momentów tragicznych, bolących wciąż ran i niezaschniętych łez. Nie chcemy i nie możemy o nich zapominać, bo

oznaczałoby to brak szacunku dla naszych ojców i dziadków. Najbardziej jednak bolesne karty naszych wspólnych dziejów nie mogą przystąpić nam odpowiedzialności za los naszych dzieci, wnuków oraz przyszłość Ukrainy i Polski. Nie ma wolnej Polski bez wolnej Ukrainy i nie ma wolnej Ukrainy bez wolnej Polski.

Dziś, w przełomowym momencie historii państwa ukraińskiego oraz jednym z kluczowych momentów w dziejach współczesnej Europy, Federacja Organizacji Polskich na Ukrainie stanowczo oświadcza, że każde słowo i czyn, które będą zmierzać do skonfliktowania naszych narodów są sprzeczne z interesem oraz wolą Ukraińców i Polaków. Podsyłanie negatywnych emocji oraz budowanie politycznego kapitału na tragicznych momentach naszej historii nie służy dziś ani państwu ukraińskiemu, którego pełnoprawnymi obywatelami są przedstawiciele polskiej mniejszości narodowej na Ukrainie, ani państwu polskiemu, będącemu dla nas drugą ojczyzną.

Apelujemy do środowisk kresowych w Polsce i wszystkich naszych rodaków o wsparcie dla procesu budowy demokratycznego państwa ukraińskiego. Dziękujemy tym wszystkim Polakom – obywatelom Ukrainy, którzy byli obecni wśród obrońców Majdanu, i tym naszym rodakom, którzy od wielu tygodni nieśli im pomoc. Dziękujemy polskim lekarzom, dziennikarzom i politykom oraz wszystkim ludziom dobrej woli za wspaniałe gesty solidarności ze społeczeństwem ukraińskim, którego częścią jesteśmy.

Niech żyje wolna Ukraina i niech żyje wolna Polska!

z up. Zarządu FOPnU  
Teresa Dutkiewicz, wiceprezes

# SYLWETKI

## *Wspomnienie o Ludwiku Sosabowskim (1916–2012)*

*Ludwik był bratankiem generała Stanisława Sosabowskiego.*

Całe życie Ludwika Sosabowskiego było wypełnione przeżyciami często bardzo dramatycznymi, ale jego niezwykła filozofia życia dawała mu zawsze wiarę w przetrwanie. W ludziach widział tylko dobro i zawsze wybaczał krzywdy, jakie mu wyrządzono. Zawsze był pogodny i wyrozumiały.

Urodził się w Krakowie w 1916 r. Bardzo wcześnie, bo w wieku 5 lat stracił swoją ukochaną matkę, ale całe życie wierzył, że ona czuwa nad nim.

Po ukończeniu studiów prawniczych we Lwowie na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jana Kazimierza został powołany do służby wojskowej. Brał udział w kampanii wrześniowej 1939 r. w artylerii. Po rozbiciu Armii „Prusy” dostał się do niewoli niemieckiej, a potem do obozów Oflag Prenzlau, Stalag Neubrandenburg, Stalag Grossborn-Westfallenhoff i obóz Grossborn.

Po szczęśliwym powrocie do domu w Stryju został aresztowany przez NKWD i wraz z narzeczoną oraz jej matką wywieziony na Sybir. Rok 1942 stał się początkiem ich tułaczki od Kustanai w Kazachstanie, przez Pamir, Iran, Syrię, Liban, Persję, Egipt. Po długiej tułaczce Ludwik znalazł się w Palestynie. Tam wstąpił do 2 Korpusu Armii Polskiej pod dowództwem gen. Andersa, który brał udział w Kampanii Włoskiej. Ludwik jako oficer 2 Karpackiego Pułku Artylerii Lekkiej przeszedł przez piekło w bitwie pod Monte Cassino. Był jednym z wielu bohaterów, którzy tam walczyli, ale w dniu zdobycia klasztoru przyszło mu jako najstarszemu rangą oficerowi podprowadzić swój oddział pod mury w decydującym momencie, w którym rozgrywały się losy tej bitwy.

Po wojnie nie było już powrotu do domu, bo ani domu, ani Polski – za którą walczył – już nie było. Walcząc w Armii Polskiej pod dowództwem brytyjskim stał się wrogiem na-

rodu tak jak jego stryj gen. Stanisław Sosabowski, który był dowódcą Polskiej Brygady Spadochronowej.

Emigracja do Wielkiej Brytanii stała się początkiem nowego życia. Był wspaniałym mężem i ojcem. Przeżył śmierć swojego jedyne go syna, potem żony Zofii.

Był dobrym obywatelem nowej ojczyzny, pozostał tam do śmierci, ale to Polska zawsze była jego prawdziwą ojczyzną, za którą tęsknił i do której zgodnie ze swoją wolą pragnął powrócić po śmierci.

Odnaczony wieloma medalami za swoje bohaterskie czyny w walce o wolną Polskę, między innymi: Krzyżem Virtuti Militari, Krzyżem Walecznych, Krzyżem Monte Cassino, Krzyżem Kampanii Wrześniowej 1939 r., Krzyżem Czynu Bojowego Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, a także odznaczeniami brytyjskimi – 1939–1945 Star, Italy Star, The War Medal 1939–45 i in.

Pozostanie zawsze w naszych sercach jako wspaniały człowiek, zawsze pogodny i kochający ludzi, z wielkim poczuciem humoru i kochający życie, takie jakie dał mu los.

Ewa Vogt

## W Krakowie i dalej

### Nasi Biskupi nie zapomną o męczennikach kresowych

Czytelnicy pamiętają apel o wyniesienie na ołtarze księdza Stanisława Szczepankiewicza z Wołynia i innych męczenników kresowych. Apel ten\* zamieściliśmy w CL 2/13, a następnie, w formie broszurki, rozestaliśmy do wszystkich Arcybiskupów i Biskupów – ordynariuszy na terenie całego kraju.

Mamy nadzieję, że wszyscy Dostojni Adresaci otrzymali tę przesyłkę. Potwierdzenia na piśmie otrzymaliśmy dotąd od ks. kardynała Stanisława Dziwisza, ks. biskupa Stefana Regmunta z diecezji zielonogórsko-gorzowskiej oraz od ks. biskupa Kazimierza Górnego z Rzeszowa.

# WSCHÓD. ZACHÓD<sup>i</sup>

## O POWRÓT RODAKÓW Z KAZACHSTANU

Do naszych rąk dotarł bardzo ważny dokument, a mianowicie LIST OTWARTY w sprawie rządowego projektu *ustawy o pochodzeniu polskim*, odbierający naszym rodakom szansę powrotu z Kazachstanu – ważny dla pozostających dotąd na *nie-ludzkiej ziemi* i ewentualnie dla ich rodzin, żyjących w Polsce i na całym świecie.

Jednak dziś, po niemal 80 latach od wywózek Polaków z Ukrainy za Zbruczem na Syberię i do Kazachstanu (lata 1930.) oraz niewielu mniej lat od wywózek z ziem zabranych nam w czasie II wojny światowej (lata 1940.), sprawa omawiana w *Liście Otwartym* nie dotyczy już większości ludzi naszego pokolenia lub ich potomstwa, urodzonego na *nie-ludzkiej ziemi*. Zdecydowaliśmy przeto o zaniechaniu przedruku tego dokumentu, powiadamiając jednak niniejszym osoby zainteresowane, że w każdej chwili możemy przesać im jego kopię kserograficzną, którą zachowujemy w naszym archiwum.

Nasz adres pocztowy i mailowy znajduje się w stopce redakcyjnej niniejszego zeszytu.

## POLSKA I LITWA

*Końcowy ustęp artykułu „Limes” J. Końskiego, „Nasz Dziennik” 1–2 XII '12*

Po katastrofie wyprawy Napoleona na Moskwę w 1812 r., którą w *Panu Tadeuszu* wspominał Mickiewicz, szeroka jeszcze autonomia pozwalała mieszkańcom Litwy i Ukrainy rozwijać i pielęgnować swą polskość. To wszak Wilno z uniwersytetem batoriańskim i Krzemieniec ze słynnym liceum były dla Polaków Atenami. Rozwój nauki i sztuki prowadził do zadziwiającej, niespotykanej nigdzie na świecie sytuacji. Otóż okupanci-Moskale i napływowi Niemcy nadal się

polonizowali. Nie ustawała też polonizacja wiejskiej ludności białoruskiej. Tak silne było oddziaływanie polskości, że nawet będąc w niewoli, Polska stawała się ojczyzną dla rosnącej rzeszy obywateli. Bo też i wielkie postaci wydały ziemie kresowe. Wymieńmy tylko ludzi pióra: Adam Mickiewicz, Juliusz Słowacki, Seweryn Goszczyński, Władysław Syrokomla, Wincenty Pol, Bohdan Zaleski, Antoni Malczewski, Józef Ignacy Kraszewski. A wszyscy oni dumni byli ze swych ojczyźnych stron. Ta słuszna, absolutnie pozbawiona ksenofobii duma pozwalała Mickiewiczowi czuć się swobodnie „na paryskim bruku” czy w Rzymie. Nowogródek i Wilno pozostały dla niego na zawsze probierzem piękna. Słowacki, podróżujący po całym świecie, z największą czułością wspominał lkwę brzegi w rodzinnym Krzemieńcu. Nic tedy dziwnego, że mimo utraconej państwowości Polacy czuli się na Kresach u siebie. To oni bowiem nadal, nie okupanci ze Wschodu, pomnażali bogactwa tej ziemi.

Powstania listopadowe (1830) i styczniowe (1863) zaświadczyły o niedających się łatwo rozerwać więzach Polski i Litwy. Nie tylko szlachta sięgnęła wówczas po broń. W szeregach powstańczych walczyli także żmudźcy i białoruscy, a nawet rusińscy chłopci.

Rosyjskie represje po klęsce powstań były okrutne. Tysiące mieszkańców wymordowano. Dziesiątki tysięcy, zwłaszcza bohaterkiej zaściankowej szlachty, zesłano na Sybir bądź Kaukaz. Wszystkich zaangażowanych choćby symbolicznie za udział w powstaniu karano konfiskatą mienia. Ostoja języka polskiego i tradycji zostały tylko dom i kościół. W Kościół więc po Powstaniu Listopadowym uderzył car Mikołaj, likwidując ponad 200 klasztorów. W 1839 r., za sprawą haniebnej postawy biskupa Józefa Siemaszki, władze doprowadziły do kasaty unii brzeskiej z 1596 roku. Grekokatolicy nie chcieli jednak zerwania jedności w wierze z Ojcem Świętym. Nawracano ich tedy przy użyciu knuta. Wielu oddało życie za wiarę. Protesty Rzymu Moskwa zignorowała. Niestety, powstanie styczniowe było ostatnim zrywem, w którym ramię przy ramieniu walczyli Polacy i Litwini. Odchodziło pokolenie Litwinów, którzy utożsamiali interesy swoje z polskimi. Ich następcami będą coraz bardziej antypolscy szowiniści. Dla nich Polska będzie, wbrew całej wspólnej historii, głównym wrogiem.



# Książki czasopisma

## Nowe książki

📖 Z wielką satysfakcją bierzemy do rąk kolejną książkę **Tadeusza i Zofii Bednarskich** z cyklu *Krakowskim szlakiem*, poświęconego znakomitym malarzom XIX i XX wieku, którzy dłużej czy krócej działali w Krakowie. Postacie artystów, które nam przedstawili w ciągu kilkunastu lat, to Jan Stanisławski, Leon Wyczółkowski, Teodor Axentowicz, Julian Fałat, Józef Mehoffer i Stanisław Dębicki oraz ten, który jest tematem omawianej teraz książki – Fryderyk Pautsch. Książka oczywiście nosi tytuł **Krakowskim szlakiem Fryderyka Pautscha** (Oficyna Wydawniczo-Drukarska „Secesja”, Kraków 2010).

Powiedzmy na wstępie, co tu jest dla nas – poza samą tematyką artystyczną – niezwykle ciekawe. Oto Pautsch i prawie wszyscy\* wymienieni wyżej malarze (co autorzy lojalnie podali) przybyli ze stron położonych na wschodzie, i to w dość rozległym zakresie. Większość pochodziła ze Lwowa i Małopolski Wschodniej (szkoda, że dotąd zabrakło Kazimierza Sichulskiego!), ale i – oczywiście Polacy – z dalekiej Ukrainy (Stanisławski) lub Siedmiogrodu (Axentowicz)\*\*. A skąd brał się ów krakowski szlak? Magnesem była Akademia Sztuk Pięknych, jedyna na obszarze

ówczesnej Galicji, i to zarówno jako miejsce studiów, jak i działalności pedagogicznej.

Wróćmy do bohatera nowej książki. Fryderyk Pautsch urodził się na Huculszczyźnie – u stóp Czarnohory, w Delatynie nad Prutem. Jego ojciec, z zawodu leśnik, zarządzał tam rozległymi lasami. Naukę gimnazjalną przeszedł Fryderyk w Stanisławowie, a na studia prawnicze udał się do Lwowa. Jednak przeważały skłonności artystyczne, co spowodowało wstąpienie na krakowską ASP, a także stypendium w Paryżu. Po ukończeniu studiów wrócił na stałe do Lwowa. W ramach ogromnej aktywności zawodowej kontynuował tu swe głębokie zainteresowania krajobrazem i folklorem świata huculskiego, a wraz z dwoma lwowskimi przyjaciółmi, Kazimierzem Sichulskim i Władysławem Jarockim, zyskali miano *trójki huculskiej*. W okresie lwowskim tworzył intensywnie i pokazywał na wielu wystawach w całym kraju serię



Okladka albumu, 1932

świetnych portretów postaci ważnych dla naszej kultury: Leopolda Staffa, Jana Kasprowicza, Ostapa Ortwina i wielu innych.

W 1912 r. przyjął Pautsch propozycję objęcia posady profesora we Wrocławiu (w Niemczech!) i pozostał tam do r. 1919, z przerwą na działania wojenne, w których wziął udział w ramach armii austriackiej. Po wojnie – z powrotem w Polsce – zaangażował się na uczelni artystycznej w Poznaniu, ale w 1925 r. zaproszono go – po śmierci S. Dębickiego – do krakowskiej ASP. To były lata ogromnej aktywności Fryderyka Pautscha. Dwukrotnie był rektorem ASP. Z tego okresu pozostały krakowskie krajobrazy, portrety tutejszych artystów, profesorów, notabli oraz obrazy religijne. Ale i w tych latach wielokrotnie pojawiają się nowe obrazy o tematyce huculskiej.

Tak dotrwał do wojny. W czasie okupacji niemieckiej uczył w średniej szkole artystycz-



nej, po zakończeniu wojny objął ponownie stanowisko profesora ASP. Zmarł w 1950 r. w swoim domu – dworku, który zbudował sobie w latach 30. na Łobzowie\*\*\*.

\* \* \*

Dodajemy od siebie – już poza treścią omawianej książki – że w domu tym pozostało wiele obrazów i pamiątek, jednak nie doszło do założenia tam indywidualnego muzeum Pautscha – oddziału Muzeum Narodowego, o co starała się jego córka, wzorem krakowskich muzeów Mehoffera czy Wyspiańskiego. Okazało się to dla miasta zbyt kosztowne – jak tłumaczyła dyrekcja MN. Wtedy córka, Maria Pautsch, ofiarowała wszystko do Muzeum Archidiecezjalnego w Krakowie. Tam część obrazów wyeksponowano oraz wydano kilka pięknych albumów, m.in. *Sceny huculskie*.

\* z wyjątkiem L. Wyczółkowskiego

\*\* Był też duży rozrzut z obszaru wschodniomałopolskiego: od Ropczyc (blisko Rzeszowa) i Lubaczowa (które dawniej należały do województwa lwowskiego), po Delatyn na Huculszczyźnie.

\*\*\* Przypomnijmy, że państwo Bednarscy pisali już o F. Pautschu w artykule ofiarowanym do naszego kwartalnika przed pięciu laty (CL 3/09). Pisali również o S. Dębickim w CL 4/08.

Autor powyższego omówienia odczuwa szczególną więź z pamięcią po Fryderyku Pautschu – co najmniej z dwóch powodów. W Delatynie urodził się mój ojciec, a mój dziadek zajmował to samo stanowisko nadleśniczego co ojciec Pautscha, lecz trzy dziesiątki lat później. To nie wszystko: obecnie mieszkam w Krakowie na Łobzowie, o trzy domy dalej za dworkiem Pautscha, dziś niestety (po niedawnej śmierci jego sędziwej córki) opustoszałym i popadającym w ruinę. Na murze ogrodu od ulicy wisi ogłoszenie o możliwości kupienia tego stylowego domu.

Andrzej Chlipalski

📖 Złożyło się całkiem przypadkowo, że w poprzednim numerze naszego kwartalnika zamieściliśmy opowiadanie **Bogny Wernichowskiej** *Tak się bawił Lwów*, a teraz omawiamy jej świeżo wydaną książkę pt. **Tak kochali Galicjanie** (wyd. „Acana”, Kraków 2013).

A więc Galicja (nie kochamy tej nazwy, ale obracamy się w innej epoce) – dla nas Małopolska – Lwów, Kraków, Sambor, Zło-

czów, no i Wiedeń (bez niego nie byłoby tej bajkowej Galicji).

W książce mieści się 29 opowiadań, z tego jednak tylko cztery dotyczą tamtych, wschodniomałopolskich stron. Co nie znaczy, że pozostałych 25 jest mniej dla nas ciekawych, dotyczą wszak Żeleńskich, Tetmajerów, Estreicherów, Matejków...



■ Najwięcej rozpisuje się autorka o miłości Kornela Ujejskiego do Leonii z Maciejowskich Wildowej. Poetę Ujejskiego uważano w tamtych czasach za czwartego wieszczą. Pani Wildowa była pianistką i żoną znanego księgarza lwowskiego Karola Wilda. Wildowie prowadzili w swoim domu muzyczny salon, była tam elita twórczej inteligencji Lwowa: historycy Karol Szajnocha, Józef Szujski, poeta Mieczysław Romanowski, pianista (uczeń Chopina) Karol Mikuli.

Czytamy o głębokich uczuciach Ujejskiego do ukochanej, o wierszach do niej pisanych, jednak obustronna miłość pozostała niespełniona. Leonia zachorowała na gruźlicę, wysłano ją do Meranu i tam zmarła w 1878 roku, tam spoczęła. Ujejski przeżył swoją żonę o ponad 20 lat.

■ Inna miłość – może nie tak platoniczna (?) łączyła w kilkadziesiąt lat później znakomitego artystę malarza Jacka Malczewskiego z wielką damą lwowskich i krakowskich salonów Marią Kingą – Panią Kinią – Balową z baronów Brunickich. W naszym kwartalniku pisaliśmy o tej miłości już parokrotnie, nie ma tu więc nowości, tym bardziej że żyją jeszcze ludzie, którzy Panią Balową pamiętają osobiście. Zналиśmy też jej rodzinę i przyjaciół, spotykaliśmy się w zaprzyjaźnionych domach, a młodszy jedno czy dwa pokolenia dowiadywali się od tamtych o epoce, która minęła przed ponad pół wiekiem.

Nawiasem mówiąc, to nie były dobre lata, ale – ludzie byli bardziej interesujący...

■ Kolejna miłość – o Kazimierzu Chłędowskim, którego znamy jako autora dwutomowych *Pamiętników – Galicja 1843–1880* i *Wiedeń 1881–1901* oraz osobnego tomu

biografii wybitnych postaci galicyjskich *Album fotograficzne*, a także całej serii książek historyczno-obyczajowych o kulturze Włoch. W życiu codziennym był jednak Chłędowski urzędnikiem, najpierw w Namiestnictwie we Lwowie, potem ministrem we Wiedniu. Zdobył przez te 60 lat wiedzę i obserwacje spisywał w wolnych chwilach i na emeryturze, ale nie o tym traktuje rozdział w omawianej tu książce.

Autorka opisuje natomiast – zgodnie z tytułem omawianej książki – romanse Chłędowskiego z jego lat galicyjskich – wczesnych krakowskich oraz długich i owocnych lwowskich.

■ I jeszcze jedna historia z tych, na które – jako wschodni Małopolanie – zwracamy szczególną uwagę (tym bardziej że spośród owych czterech najmniej szerokiemu ogółowi znanych), to kłopoty miłosne Walerego Łozińskiego, młodego pisarza rodem z Sambora i zmarłego w 24. roku życia. Już kilka lat wcześniej (1857) Łoziński napisał romantyczną powieść *Zakłęty dwór*, uznaną za ogniwo między *Panem Tadeuszem* a *Popiołami* Żeromskiego. Nasze starsze pokolenie na pewno ją pamięta (była wydana przed i po wojnie).

Walery Łoziński miał dwie miłości – ta druga doprowadziła go do przedwczesnej śmierci (pojedynek).

I tyle o owych czterech *galicyjskich kochaniach*.

📖 Książd profesor dr **Józef Wołczański** opracował i wydał *Inwentarz lwowskiej Bazyliki Metropolitalnej obrządku łacińskiego, kaplic rezydencji arcybiskupów we Lwowie i Obroszynie XIX/XX wieku oraz jego losy po II wojnie światowej w Polsce* (Wydawnictwo bł. Jakuba Strzemie Archidiecezji Lwowskiej ob. łac., Lwów–Kraków 2013).

We wstępie autor pisze:

*Ruchoме wyposażenie lwowskiej Bazyliki Metropolitalnej znalazło się w nowych granicach Polski w latach 1945–1946. Wiosną 1946 r. wyjechał ze Lwowa abp Eugeniusz Baziak. Zbiory zdeponowano w siedzibach zakonów i zgromadzeń męskich i żeńskich, dysponujących obszernymi pomieszczeniami. Były to klasztory w Krakowie, Tarnowie, Przemyślu i Łodzi, a także kościoły: w Poznaniu (archikatedra pw. Apostołów*

*Piotra i Pawła*) i w Tarnowie (katedra pw. Narodzenia Najświętszej Marii Panny).

*W roku 1978, po wybudowaniu gmachu Kurii Arcybiskupiej w Lubaczowie, zaczęto gromadzić tam wszystkie zbiory kościelne ze Lwowa, zdeponowane dotychczas w wielu miejscach w Polsce. Stabilny stan tych zbiorów w Lubaczowie utrzymał się do roku*

*1991, kiedy to w styczniu tegoż roku Ojciec Święty Jan Paweł II reaktywował struktury organizacyjne metropolii lwowskiej w granicach niepodległej Ukrainy. Zbiory pozostały jednak w Lubaczowie jeszcze przez kilka lat po wyjeździe metropolity abpa Mariana Jaworskiego do Lwowa – aż do roku 1995. Wówczas najcenniejsze eksponaty przewieziono do Krakowa. Stały się depozytem archidiecezji lwowskiej w skarbcu Katedry na Wawelu oraz Muzeum Archidiecezjalnym. Znaczna część tkanin kościelnych o mniejszej wartości historyczno-artystycznej (ornaty, kapy, dalmatyki) pozostała nadal w dawnych pomieszczeniach Kurii Arcybiskupiej w Lubaczowie.*

*Nowy metropolita lwowski (od 2008 r.) abp Mieczysław Mokrzycki uznał za celowe sprowadzenie do Lwowa niektórych sakralnych eksponatów o kresowej proveniencji. Tak więc w ołtarzu głównym Bazyliki Metropolitalnej od 2009 r. znajduje się relikwiarz bł. Jakuba Strzemie, natomiast tkaniny kościelne i niektóre naczynia liturgiczne trafiły do pomieszczeń Seminarium Duchownego we Lwowie-Brzuchowicach. Oczekują tam na docelowe miejsce w Muzeum Archidiecezjalnym (obecnie trwa remont historycznej rezydencji metropolitów lwowskich, gdzie zostaną ulokowane m.in. Muzeum i Archiwum Archidiecezji Lwowskiej).*

\* \* \*

Praca ks. prof. J. Wołczańskiego składa się z pięciu części:

1. Inwentarz Bazyliki Metropolitalnej we Lwowie. Początek XX w. – do 1946 r.

2. Sprzęty i aparaty kościelne w kaplicy pałacowej (we Lwowie i w Obroszynie)



3. Wykaz przedmiotów Katedry Łacińskiej we Lwowie ewakuowanych do RP w latach 1945–1946

4. Inwentarz utensyliów sakralnych Archidiecezji Lwowskiej, zdeponowanych w Katedrze i Kurii Metropolitalnej Poznańskiej 1946–1978

5. Inwentarz wyposażenia Bazyliki Metropolitalnej Kaplicy Pałacu Arcybiskupów we Lwowie, zdeponowanych po 1946 r. w katedrze tarnowskiej.

Omawiana publikacja zawiera bogaty indeks ilustracyjny, sporządzony przez jej autora w czerwcu 2013 r. Jest to zbiór blisko trzystu (291) fotografii wszystkich dostępnych obiektów przechowywanych aktualnie we Lwowie-Brzuchowicach. Daje on wyobrażenie o wartości artystycznej tych obiektów.

Ireneusz Kasprzysiak

nim. Pointą niech będą słowa z zakończenia: *Ludzki los – zdeterminowany geografiją i historią – zbudował ten album. Obrazem opisano tak ważną w naszych dziejach krainę, która swój wyrazisty ślad odcisnęła na polskiej kulturze i tradycji.*

Przeglądając strony albumu *Kresy w starej fotografii* odbywa się podróż po ziemiach dzieciństwa i młodości...

Danuta Trylska-Siekańska

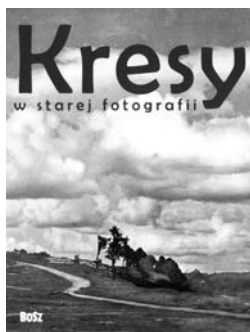
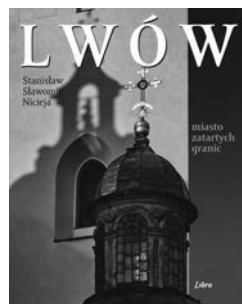
Wspaniałą, grubą księgę-album autorstwa **Iryny Kotłobułatowej** pt. **Lwów na fotografii 1860–2006** (wyd. „Centrum Europy”, Lwów 2006) udało nam się przejrzeć ostatnio we Lwowie. Są to zdjęcia różnych fotografów (w części nieznanych), dotyczące lwowskich ulic i placów, parków, budynków, kościołów, ich wnętrz oraz szczegółów. Nie ma tu w zasadzie zwięzłego tekstu, a jedynie na każdej stronie duże zdjęcie, zaś pod nim dość obszernie wyjaśnienie, mające charakter opisu historyczno-naukowego przedmiotu tego zdjęcia. Bardzo cenne wydawnictwo – jak wszystko, co tworzy Pani Irina.



Na tej samej zasadzie zapoznaliśmy się z tomem zatytułowanym **Moje serce zostało we Lwowie. Antologia poezji kresowej** (wyd. BOSZ, Olśzanica 2009). Tom zawiera wiersze 32 poetów

dawnych (od Sebastiana Klonowica, XVI w.) po współczesnych, w tym wielu sławnych (Hemar, Herbert). Wierszom towarzyszą znakomite – jak zwykle – zdjęcia Adama Bujaka.

Z prasy wiemy o nowym albumie **Stanisława S. Nicieja** ze zdjęciami **Krzysztofa Hejke** i **Siergieja Tarasowa**, pt. **Miasto zatartych granic** (nie podano wydawcy). Prof. Nicieja pisze, że dziejów Lwowa *nie da się wyrwać z historii Pol-*



W wydawnictwie BOSZ, w serii *Stara fotografia*, powstał album pt. **Kresy w starej fotografii**, która zawiera zbiory Muzeum Historii Fotografii im. W. Rzewuskiego w Krakowie. Koncepcja, wybór fotografii i opracowanie wykonane zostały przez **Magdalenę Skrejkę** i **Andrzej Rybickiego**, pracowników tego

Muzeum. Ciekawy i refleksyjny wstęp pt. *Siła mitu* napisał Janusz Majewski, reżyser (ur. 1931 we Lwowie).

Fotografie ułożone są wedle przedwojennego podziału administracyjnego, tj. najpierw Lwów i województwa południowe, potem Wołyń, aż do Wilna i województw północnych. Dodatkowego wyrazu koncepcji albumu nadaje umieszczenie na początku fotografii zatytułowanych *Dzieciństwo i młodość*, a na końcu *Cmentarze i schyłek życia*.

Reprodukowane fotografie wykonane są w technice czarno-białej lub sepii. Wiele z nich jest anonimowych, ale wśród podpisanych najczęściej powtarzają się nazwiska Jana Bułhaka, Adama Lenkiewicza, Wojciecha Buyko, Michała Affanasowicza i inne.

Para autorska na zakończenie dała podsumowanie zawierające trochę historii o początkach i rozwoju fotografiki oraz o powstaniu koncepcji albumu i przebiegu prac nad

ski. Gdyby ktoś chciał to uczynić, musiałby amputować z polskiej pamięci historycznej trudno wymierzalną przestrzeń czasową i intelektualną.



okupacjach Lwowa przez niewolę komunistyczną – aż po katastrofę smoleńską.

Informacja również wzięta z prasy: **Pod czerwoną okupacją** – niezwykle wywiad-rzeka przeprowadzony przez Annę Zechenter z **Adamem Macedońskim**. Jest to opowieść o życiu człowieka walczącego przez całe życie o prawdę, wolność i niepodległość, artystę-plastyka, pieśniarza, poetę. Mowa o kolejnych

niej – zachowało się tam ponad 2000 nagrobków z polskimi inskrypcjami od początków XIX wieku.

Autor opisuje pokrótce cmentarze w Monasterzyskach – było ich kilka (także w dwóch wsiach po drugiej stronie rzeki Koropiec, które przed wojną włączono do miasta), niestety nie zachowały się z różnych powodów (przykładem: dwa żydowskie). Również ten omawiany pozostaje dziś w złym stanie, jest zarosnięty, co bardzo utrudniało kilkuletnie inwentaryzowanie nagrobków i ich stanu.

Autor opowiada też, że kościół w Monasterzyskach sowieci po II wojnie zamienili na magazyn, niszcząc jego wyposażenie. W podziemiach były trumny księży i moźnych osób – wszystkie zostały przez Ukraińców i napływowych Rosjan wyrzucone jak śmieci



Ukazała się książka **Jerzego Holzera** pt. **Historię w trybach historii** (wyd. „Znak”, Kraków 2014). Nie mieliśmy jej w rękach, więc przepisujemy z „Dziennika Polskiego” z 13 III '14:

*Jerzy Holzer to jeden z najwybitniejszych współczesnych polskich historyków. W najnowszej książce sięgnął do dziejów swoich i swojej rodzi-*

*ny. Opisując życiowe przypadki pochodzących ze Lwowa Holzerów i Mayerów, pisze równocześnie krótką historię Polski w XX wieku, widzianą własnymi oczami: okres międzywojenny, okupację, komunizm, opozycję, III Rzeczpospolitą. Ciekawe jest jego widzenie środowiska historyków i ich zachowań wobec władzy, a także opozycji, z którą się związał w latach 70. Fascynująca lektura.* (Paweł Stachnik)

Wartościowa i ładnie wydana książeczka nadeszła z Wrocławia od p. **Zbigniewa Żyromskiego: Monasterzyska. Cmentarz katolicki**. Autor stamtąd pochodzi i wszystko co dotyczy tego miasteczka w powiecie buczackim jest mu drogie. Tamtejszy cmentarz uznany został za jedną z największych dziś polskich nekropolii w Małopolsce Wschod-

## Wertując wydawnictwa

➔ Nowy, świetny numer czasopisma lwowskiego „**Nasze Drogi**” (3/2013)! Na 52 stronach (licząc z okładkami) mieści się sporo ważnych i ciekawych artykułów, mnóstwo zdjęć, w dużej części kolorowych.

Zacznijmy od tych ważnych. *Najpierw Plan współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 r.* (nie podano autorstwa). Plan obejmuje następujące główne tematy: A. *Nauczanie języka polskiego, w języku polskim i o Polsce*; B. *Wzmacnianie, aktywizacja i mobilizacja środowisk polskich w krajach zamieszkania*; C. *Wzmacnianie więzi i kontaktów z Polską* (każdy z tematów jest szeroko omówiony). Odpowiedzialność za realizację ww. tematów rozkłada się m.in. na ministerstwa: edukacji narodowej, nauki i szkolnictwa wyższego, kultury i dziedzictwa narodowego, gospodarki, spraw wewnętrznych, sportu i turystyki oraz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa i Urząd ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych.

Drugi ważny dokument to zapewnienie ze strony Fundacji Wolność i Demokracja

w kwestii finansowania projektów dot. wspierania Polonii i Polaków za granicą – m.in. wspieranie *polskich mediów* w państwie ukraińskim.

W listopadzie '13 odbył się w Domu Polonii w Pułtusku zjazd Rady Polonii Świata. Wybrano nowe władze: w głosowaniu na prezesa zwyciężył Jan Cytowski z Kanady, dotychczasowy działacz w Toronto; wiceprzewodniczącą została znana nam od lat Helena Miziniak\*.

Ważna jest informacja o przydzieleniu ostatecznie – po latach starań – budynku przy ul. Janowskiej na Centrum Kultury Polskiej i Dialogu Europejskiego (pisaliśmy o tym w CL).

Obiekt ten to dawne koszary austriackie z poł. XIX wieku o łącznej powierzchni ponad 1300 m<sup>2</sup>. Na razie – dobre i to...

Nie jest przypadkiem, że większość organizacji *kresowych* obchodzi teraz swoje ćwierćwiecze – mogły wszak zawiązać się dopiero po rozkładzie Związku Sowieckiego w ostatnich latach 80. minionego wieku. Tak było z naszym Towarzystwem Miłośników Lwowa (potem: i Kresów Płd.-Wsch.) w roku 1988, w tym naszego krakowskiego oddziału (1989), który teraz przygotowuje własny jubileusz. Swoje 25 lat święciło również Towarzystwo Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej (1988–2013). Posiada dziś 21 oddziałów na terenie Małopolski Wschodniej, a liczba jego członków wynosi ponad 16 tysięcy (w samym Lwowie 6,5 tys.). Przypomnijmy, że TKPZL należy do Federacji Organizacji Polskich nU, która skupia szereg innych jeszcze organizacji polskich na wielkim obszarze tamtego państwa\*\*.

Szeroko – z wieloma kolorowymi zdjęciami – omawia T. Dutkiewicz: *Znamienny Dzień Szkoły* – przywrócenie imienia św. Marii Magdaleny – tej najstarszej polskiej szkole we Lwowie, która za trzy lata będzie obchodzić swoje 200-lecie. O tym wspomniałym wydarzeniu pisaliśmy w CL 1/14, ale tu, w „Naszyc Drogach” relacja jest o wiele, wiele bogatsza.

Dalej czytamy o Międzynarodowej Konferen-

cji Naukowo-Praktycznej *Polacy na Krymie* (jeszcze sprzed ostatnich wydarzeń krymskich), o „Zaduszkach Poetyckich” w Barze na Ukrainie, o Szkole im. Królowej Jadwigi w Mościskach i Towarzystwie Kultury Polskiej Ziemi Mościskiej. Na koniec dwa piękne wspomnienia o naszym zmarłym kompozytorze Wojciechu Kilarze.

Czekamy z ciekawością na następny numer.

\* Wśród grona czołowych działaczy przewija się nazwisko Tadeusza Adama Pilata, prezydenta honorowego Europejskiej Unii Wspólnot Polonijnych. Czy ma on związek ze znaną lwowską rodziną Pilatów? Nie wiemy.

\*\* Co będzie teraz? Trudno przewidzieć.

➔ Z okazji 75. rocznicy śmierci wielkiego Ormianina, abpa Józefa Teodorowicza, jego rodacy zorganizowali godne upamiętnienie: Tydzień Pamięci z sesją naukową w Krakowie (pisaliśmy o niej w CL 1/14). Na tę okoliczność wydano **broszurkę pt. Tydzień Pamięci o ormiańskim arcybiskupie i polskim patriocie Józefie Teodorowiczu** (wyd. Fundacja Kultury i Dziedzictwa Ormian Polskich [oraz] Uniwersytet Papieski Jana Pawła II w Krakowie (Warszawa–Kraków 2013; okładkę pokazaliśmy w poprzednim numerze). Zawarte tam teksty zostały zredagowane przez Monikę Agopsowicz i Tomasz Krzyżowski. Słowo wstępne napisali M. Agopsowicz i Armen Artwich.

Na treść broszury złożyły się różne ważne teksty, a więc przede wszystkim kalendarium życia Arcybiskupa, urodzonego w 1864 r. w Żywaczowie na Pokuciu, zmarłego w 1938 r. we Lwowie. Arcybiskupem lwowskim obrz. ormiańskiego był od roku 1901 do śmierci.

Następnie przedstawiono słynne kazanie sejmowe Arcybiskupa w katedrze św. Jana w Warszawie w 1919 roku.

Kolejny tekst to Postanie Patriarchatu Cylicji\* dla Ormian katolików ku Wiecznej Pamięci Abpa Józefa Teodorowicza.

Zdjęcie broszury oraz program sesji, na którą złożyło się 14 referatów, zamieściliśmy w CL 1/14.

\* Dla wyjaśnienia: Cylicja, historyczna kraina we wsch. części Małej Azji. Należała kiedyś do Asyrii, Persji, cesarstwa rzymskiego, w VIII w.



zdobyta przez Arabów – dziś w pld. Turcji. Główne miasto Tars, urodził się tam św. Paweł. Patriarcha ormiańskokatolicki rezyduje dziś w Libanie.

➔ W prasie wschodniomałopolskiej ukazały się ostatnio dobre wiadomości o podejmowaniu **prac ratunkowych nad naszymi zabytkami** na terenie państwa ukraińskiego, nie tylko na terenie Małopolski Wschodniej, ale także Ukrainy właściwej. Chodzi tu o prace podejmowane z inicjatyw tamtejszych, bo o wieloletnich już działaniach strony polskiej, głównie na Cmentarzu Łyczakowskim – dzięki profesjonalnym pracom grupy konserwatorów, jak i doraźnym (a szerokim) pracom miejscowych Polaków, wspomaganych przez ośrodki ekspatriancie – pisaliśmy wielokrotnie.

Co ciekawe, po tamtej stronie prace ratunkowe podjęły nie tylko czynniki państwowe, ale i wolontariusze, o czym niżej.

Wprowadzając w szczegóły, pozwalamy sobie przytoczyć (patrz na s. 43) początkowy fragment artykułu Dmytro Antoniuka pt. *Byle nie zapeszyć*, przedstawiony w „Kurierze Galicyjskim” nr 21/2013, a dotyczący Okopów Świętej Trójcy, które leżą – jak pamiętamy – u zbiegu Dniestru i Zbrucza, a więc w samym południowo-wschodnim kącie II Rzeczypospolitej\*.

Kolejnym z omawianych obiektów jest bezcenny XVIII-wieczny kościół pw. Wszystkich Świętych w Hodowicy pod Lwowem\*\*, jedno z najwybitniejszych dzieł Bernarda Meretyna.

\* a wcześniej – porozbiorowej Galicji

\*\* Omawialiśmy tę miejscowość już w drugim odcinku naszego Słownika geogr.-hist. w CL 1/96.

➔ W „Kurierze Galicyjskim” 23–24 z 20 XII '13–16 I '14 znajdujemy relacje K. Czawagi i M. Axentowicz-Bohosiewicz: *KUL uczył polskich Ormian katolików*. W uroczystości lubelskiej wziął udział patriarcha Kościoła ormiańskokatolickiego w Cylicji, katolikos Nerses Bedros XIX, uhonorowany przy tej okazji „Złotym Dyplomem”.

W tym samym numerze ks. Bazyli Pawełko, proboszcz stanisławowski, opowiada o odnawianiu kościoła w Łyścu k. Stanisławowa, dawniej ormiańskiego, obecnie rzymskokatolickiego (za sowietów w zdewastowanej świątyni było kino!). Obecni Ormianie



Matka Boska Łysiecka

– w myśl własnej tradycji – zamierzają tu umieścić wierną kopię cudownego obrazu **Matki Bożej Łysieckiej** (oryginał obecnie w Gliwicach).

➔ W tym samym numerze KG obszerny artykuł M. Baczyńskiej o **Huculszczyźnie**. Region ten nie stanowił nigdy żadnej jednostki administracyjnej, a Huculi – potomkowie Daków – którzy jako pasterze przybyli przed wiekami z Wołoszczyzny, osiedli po południowej (Bukowina i Zakarpacie) oraz północnej stronie wschodnich Karpat (Pokucie). Huculszczyznę zamieszkuje dziś podobno do 300 tys. ludzi, a wszystkie wymienione części znajdują się w obrębie państwa ukraińskiego. Istnieją dziś oczywiście tendencje separatystyczne (o czym autorka nie pisze). Nas interesuje oczywiście północna część Huculszczyzny, pokrywająca się w dużej części z Pokuciem.

Autorka opisuje więc region z Kołomyją i Kosowem, pisze o jego historii, gospodarce, o kulturze i cywilizacji, o sztuce i rzemiośle, wreszcie o jego więzi z naszą tradycją kulturową. Pada oczywiście nazwisko

najświetniejszego garncarza Bachmińskiego i innych twórców.

O tych sprawach pisaliśmy już parokrotnie, ale omawiany tu artykuł i tak warto przeczytać. O naszych Huculach nigdy za wiele!

➔ Z artykułu J. Kamińskiego w „Kurierze Galicyjskim” nr 21/13 dowiadujemy się, że miasto **Skalat** (w woj. tarnopolskim) obchodzi swoje 500-lecie i w związku z tym odbyły się tam jubileuszowe uroczystości. Nie wiemy jednak, na czym obecne władze oparły swoją wiedzę o wieku Skalatu. W Słowniku geogr.-historycznym w CL 2/01, opracowanym przez dr M. Taszyką na podstawie poważnych źródeł historycznych, dopiero w latach 30. XVII wieku ówczesny właściciel tego obszaru, poseł do Sejmu I Rzeczypospolitej Krzysztof Wichrowski, zbudował warowny zamek, którego mury i baszty stoją do dziś. Potem zamek przeszedł w posiadanie Firlejów, Tarłów, ks. Poniatowskich i jeszcze innych. Wokół zamku powstała oczywiście osada, która później stała się miasteczkiem.

Czy osada Skalat mogła powstać 500 lat temu? Mogła, ale żadnych dowodów na to nie ma, bo dzisiejsi gospodarze na pewno by się tym pochwalili. Zamek miecznika Wichrowskiego, nieodległy od Zbrucza (paręnaście kilometrów) powstał zapewne, jak jeden z wielu, na linii obrony naszego królestwa przed najazdami tatarskimi, kozackimi, tureckimi. Miasteczko było parokrotnie niszczone i odbudowywane. Uspokojenie i rozkwit nastąpiły w latach autonomii galicyjskiej (kiedy rządy przeszły w ręce na powrót polskie) oraz

międzywojennych. O tym w omawianym artykule się nie pisze, polskość została pominięta.

Dziś w Skalacie żyje podobno ok. 240 Polaków, a ich ostoją jest kościół – trzeci z kolei: pierwszy z XVII wieku spłonął z końcem XIX w., drugi – projektu Teodora Talowskiego wysadzili sowieci w 1958 r. Teraz zbudowano nowy, nieco mniejszy, ale nawiązujący stylistycznie do tamtego.

Podobno w ostatnich latach i zamek, i miasteczko zostały odnowione i mają stanowić atrakcję turystyczną – bo w pobliżu są wszak Miodobory i Toltry. Dodajmy, że obecnie merem miasta jest pani Natalia Stańkowska, o polskim pochodzeniu.

Warto na koniec dodać, że w Skalacie urodziła się i wychowała p. dr Maria Winowska (1906–2007), której zawdzięczamy – obok p. Stanisława Wasiuczyńskiego i o. Adama Studzińskiego – zintegrowanie się środowiska ekspatrianckiego w Krakowie, co doprowadziło przed 25 laty do powstania tutejszego oddziału TMLiKPW.

➔ I jeszcze w tym samym numerze KG K. Łoza pisze o *Encyklopedyście sarmackim* – ks. **Benedykcie Chmielowskim** (1700–1763). Do tej postaci wrócimy.

➔ W „Kurierze Galicyjskim” nr 2/14 zwracają uwagę następujące materiały:

■ *Pan Kolberg co skrzętnie notował* (autor M. Piekarski) – o wybitnej postaci etnografa polskiego **Oskara Kolberga** (1814–1890), który zasłużył się zebraniem i wydaniem wielu prac na temat folkloru ludu polskiego z obszarów I Rzeczypospolitej. Główny owoc jego życia to 33 tomy dzieła *Lud. Jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusła, zabawy i tańce* (I tom ukazał się w 1890 r., ostatnie już po jego śmierci). W ramach badań Kolberga znalazły się oczywiście Ziemia Lwowska i Pokucie. Wcześniej wydano we Lwowie (1833) *Pieśni polskie i ruskie ludu galicyjskiego*, oparte na materiałach Karola Lipińskiego i Wacława Zaleskiego (Wacława z Oleska).

■ O figurkach *Chrystusa Frasobliwego*, m.in. we Lwowie i Wschodniej Małopolsce.

■ Dalszy ciąg cyklu o Czernelicy (patrz CL 1/14, A. Goszczyński).

■ O Stanisławie Vincenzie i Huculszczyźnie (A. Sznajder).





■ Dalsze informacje o odbudowie „Białego Stonia” – dawnego obserwatorium na Popie Iwanie w Czarnohorze.

➔ Nadeszły z Wrocławia dwa nowe wstrząsające numery czasopisma „**Na Rubieży**”, wydawane przez Stowarzyszenie Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów – 131 i 132/2014. W numerach, jak zwykle, kolejne dokumenty wydarzeń z lat ludobójstwa, opatrzone przerażającymi zdjęciami i opisami. Jest sporo analiz i rozważań na tematy tamtych sytuacji i ciągów wydarzeń, dziś coraz dokładniej rozpoznawanych.

Są też tematy niejako uboczne – historyczne, aktualno-polityczne i in. Ciekawe spostrzeżenie wysunął jeden z autorów, cytujemy: *...w moim odczuciu są dwie, a nawet trzy Ukrainy: Ukraina wschodnia – do Dniepru i Ukraina zachodnia od Dniepru. Jest jeszcze trzecia Ukraina – w... Polsce.*

Tę trzecią Ukrainę reprezentuje „Nasze Słowo”, które nie ukrywa swej antypolskości, a mimo to jest przez polskie władze dotowane. Czy nie przesadza się z taką *poprawnością polityczną*?

➔ Skoro jesteśmy przy problematyce polsko-ukraińskiej, to warto zapoznać się z numerem 9/2014 **tygodnika „Do rzeczy”**. Zamieszczono tam cały blok wypowiedzi – poczynając od Majdanu, relacji Ukraina-Rosja oraz przyszłości w trójkącie Polska-Ukraina-Rosja. Piszą prof. B. Cywiński, P. Żurawski-Grajewski, J. Malicki, ks. T. Isakowicz-Zaleski.

➔ Otrzymaliśmy dwa kolejne numery – 11 i 12–13 z 2012 i 2013 r. – „Biuletynu Stowarzyszenia Przyjaciół Ziemi Drohobyckiej”, zredagowane, po rezygnacji J. Rybotyckiego, przez Mariana Szczepanowicza\*. Oba nowe numery prezentują się doskonale. Mają większy niż dotychczas format (A4) oraz aż 120 i 220 stron, sporo ilustracji w większości archiwalnych, nieco nowych. I jeszcze wiele, wiele innych tematów.

Zawartość numerów jest bardzo urozmaicona. Oczywiście mowa w nich nie tylko o Drohobyczu i Borysławiu, ale i wielu innych miejscowościach, sprawach i ludziach tego naftowego regionu. W nrze 11 pisze się dużo o samym Drohobyczu, o jego ulicach i budowie wodociągów, o ludziach

i rodzinach, o życiu społecznym dawnym i dzisiejszym. Pierwsze strony poświęcono panu Alfredowi Schreyerowi, muzykowi, nauczycielowi i działaczowi, postaci niemal legendarnej. Minęła mu właśnie dziewięćdziesiątka. Skoro mowa o Drohobyczu, to trudno nie pisać o Brunonie Schulzu. Dalej, o potrzebie ratowania cmentarza w Borysławiu, o zjeździe Schodniczan, o Rychcicach...

Ważnym materiałem jest genealogia rodziny Szczepanowiczów – to nazwisko nosił redaktor Biuletynu. Nosił, bo już nie żyje, ale szczęśliwie zdołał opracować dzieje swego rodu, kiedyś rycerskiego (XIV wiek!), ziemiańskiego, potem mieszczańsko-rzemieślniczego, inteligentkiego. To w sumie ciekawy przyczynek do historii i losów polskich rodzin.

Są też różne ciekawostki, np. o zawodzie *łebaków*, którzy zgarniali rozlewającą się ropę naftową, wykorzystywaną następnie przez właścicieli warsztatów. Zajmowali się też gaszeniem pożarów przez zasypywanie źródeł wpływającej ropy.

W numerze 12–13 znajdujemy dwa artykuły o powstaniu styczniowym, o życiu polskim w Drohobyczu po 1863 r. oraz o krzyżu powstańczym na starym cmentarzu drohobyckim (otwartym w 1790 r.). Dalej ciekawie o drohobyczanach i innych z tamtej ziemi, którzy zginęli w różnych bitwach – poczynając od powstania styczniowego, poprzez obrońców Lwowa, powstańców warszawskich, o białych kurierach, żołnierzach spod Monte Cassino, obrońcach Żydów, księżach, pilotach, ofiarach bitwy o Wał Pomorski, a wreszcie takich, którzy brali udział w bitwach, lecz ocalali. Dołączono listę drohobyckich ofiar Katynia – jest ich ponad stu. Dalej czytamy o zbrodni niemieckiej w Uryczu koło Schodnicy.

Spory artykuł z archiwalnymi zdjęciami o drohobyckim „Sokole”, a wreszcie o historycznie o ważnych ulicach Drohobycza: Jana III Sobieskiego i Marszałka Piłsudskiego. W numerze 11 czytaliśmy o Trakcie Borysławskim. I jeszcze wspomnienia o szkole *limanowskiej*\*\* w Borysławiu.

I jeszcze sporo ciekawych artykułów, ale nie możemy tu zastępować spisu treści, który pominięto! Na koniec jak zwykle o książkach, o zmarłych, o 100- i 90-latkach.

Trzeba podkreślić, że pismo ma bardzo wielu korespondentów, ale i wielu wplacających na fundusz wydawniczy (w ciągu 3 kwartałów 2012–2013 – 105 wpląt). I sporo nowych członków Stowarzyszenia: w ciągu roku jw. zapisały się 43 osoby. Pozazdrościć!

- \* Nr 11 na pewno, nr 12–13 prawdopodobnie (lub częściowo). Red. M. Szczepanowicz zmarł nieoczekiwanie w lipcu 2013 r. w wieku 66 lat. Mieszkał w Krakowie.
- \*\* Określenie to pochodzi od nazwy francuskiego koncernu naftowego „Limanowa” (?), który tu działał i pomógł w założeniu tej ekskluzywnej szkoły.

## **Jest co czytać (43)**

Otrzymaliśmy z Wrocławia pismo o nieznanym nam dotychczas tytule: „**Życie Kresowian**”, i to już numer 9. z 2013 roku (od kiedy wychodzi?). Naczelny redaktor, pan Zdzisław Piwko (przyjaciel!), nigdy dotąd nam go nie nadesłał!

Zawartość pisma pokrywa się z tytułem\*. W większości są tu teksty o czasie obecnym, a jeśli historia – to niedawna. Pismo ma 32 strony (licząc z miękkimi okładkami), w formacie A4, czarno-białe, z wyjątkiem dwóch środkowych stron, gdzie zamieszczono różne dawne i nowe zdjęcia. Pismo ma charakter historyczno-wspomnieniowy i informacyjny.

Numer otwiera omówienie dwudniowego Święta Kresowian: były wystawy, część artystyczna, występy szkół wrocławskich i profesjonalnych artystów estrady. Dalej czytamy relacje o konkursach młodzieżowych i podjęciu przez młodzież konserwacji cmentarza w Tuligłowach (k. Komarna).

Dalej relacje z atrakcyjnej działalności Klubu „Leopolis”, a przy okazji wspomnienie tego, co działo się kilkanaście lat temu. Padają niezapomniane – także dla nas, spoza Wrocławia – nazwiska nieżyjących niestety Krysi Karbownik i Danki Krupskiej, a także o przyjazdach dzieci i młodzieży z Kołomyi.

Potem trochę wspomnień o znaczących postaciach, miejscach i wydarzeniach: czasy obu okupacji, opowieść o dwóch lwowiakach z Łyczakowa Marianie Słabym i Leszku Sawickim. Dalej pada nazwisko ciekawej postaci Mariana Głowaczewskiego. Kilkoro autorów wspomina swój rodzinny Husiatyn

nad Zbruczem. A na koniec o książkach, czasopiśmie „kresowych” i jeszcze sporo innych tekstów o wielu sprawach, co należy pochwalić!

\* W podtytule czytamy: Biuletyn Informacyjny Wrocławskiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Płd.-Wsch.

## **Czasopisma omówione w rubryce Jest co czytać**

- 36. CL1/04. WSPÓLNE DZIEDZICTWO (Wołyń)
- 37. CL2/04. BIULETYN INFORMACYJNY Oddziału Poznań
- 38 CL2/05. ZESZYTY LWOWSKIE (Londyn)
- 39. CL 1/07. BIULETYN BUKACZOWIECKI
- 40. CL 4/07. GŁOS BUCZACZAN
- 41. CL 1/08. KURIER GALICYJSKI
- 42. CL3/10. ZESZYTY SZCZECIŃSKIE

Poprzednie spisy zamieściliśmy:

- poz. 1–15 w CL 4/99, s. 22
- poz. 16–23 w CL 2/01, s. 54
- poz. 24–35 w CL 4/03, s. 48
- poz. 36–42 w CL 4/13, s. 65

## **ERRATA**

Kompromitujący błąd znalazł się na I stronie okładki naszego poprzedniego numeru – CL 1/14. Oto wśród informacji o zawartości numeru w ostatniej linijce czytamy, że *Kościół* św. Marii Magdaleny wrócił do swojej nazwy. A przecież to ma być **Szkoła!** I to w takiej godnej sprawie! Przepraszamy całą Szkołę i Czytelników!

I drugi błąd w tym samym numerze na s. 36 – tym razem literówka – w artykule *Lwów się bawi* – w lewej szpalcie w wierszu 13 od dołu ma być **Kurcewiczówien**, a nie *Kuncewiczówien*. Przepraszamy Autorkę artykułu i Czytelników.

# Rok Herberta

dokończenie ze s. 1

We Lwowie ukończył szkołę powszechną. Osierocony przez ojca, znalazł się wraz z matką – w wyniku działań wojennych po 17 września 1939 – najpierw w Zachodniej Ukrainie Radzieckiej, później na obszarze hitlerowskiego Generalnego Gubernatorstwa. Jeszcze w latach wojny otrzymał – na tajnych kompletach – świadectwo dojrzałości i rozpoczął studia na konspiracyjnym uniwersytecie.

W 1944 osiadł w Krakowie. Po wojnie wstąpił na Akademię Sztuk Pięknych, potem na Akademię Handlową, którą ukończył w 1947 roku z tytułem magistra ekonomii. Choć nie wystawiał swoich rysunków i obrazów, pozostał wierny pasjom plastycznym.

Nadal kontynuując naukę, w Toruniu na Uniwersytecie im. Mikołaja Kopernika ukończył wydział prawa, by z kolei studiować na Uniwersytecie Warszawskim filozofię. Właśnie te ostatnie, klasyczne, studia stały się intelektualną podstawą jego przyszłej twórczości. Profesorem i duchowym opiekunem młodego Herberta został na Uniwersytecie Henryk Elzenberg (1887–1967) – filozof, wybitny specjalista z zakresu etyki i teorii wartości, znawca filozofii starożytnej.

W roku 1950 publikuje Herbert na łamach „Tygodnika Powszechnego” *Dwie stance: Sierpień, Morze* – wiersze te uznaje się za jego debiut. Pisane po wojnie opowiadania o tematyce partyzanckiej nie zostały przez autora opublikowane. W 1954 roku wiersze Herberta ukazały się w almanachu *Każdej chwili wybierać muszę*.

Pracował poeta w różnych zawodach: był redaktorem „Przeglądu Kupieckiego”, urzędnikiem Banku Polskiego, subiektem w sklepie, projektantem urządzeń sanitarnych, kierownikiem administracyjnym w Związku Kompozytorów Polskich... Na stałe osiedlił się w Warszawie.

Okres, w którym przyszło mu debiutować, w którym powinien był wydać pierwszą książkę, określa się mianem socrealizmu. Nie oddaje ono zapewne w pełni dramatu człowieka, chcącego pogodzić własne niezależne myślenie, wyniesione z domu przekonania z pragnieniem artystycznej akceptacji,

oficjalnej sławy. Herbert był jednym z tych nielicznych, którzy woleli odrzucić pokusę debiutu i kariery, jeśli ceną miał być akces do grona dworskich pisarzy-panegirystów okresu stalinowskiego. Nie ma on w swoim dorobku książek czy publikacji, których musiałby się wstydić. Ceną było pisanie „do szuflady” i tzw. spóźniony (nie powtórný, jak to miało miejsce u innych) debiut.

W latach 1954 i 1955 rozpoczął się w Polsce proces przemian społeczno-politycznych i kulturalnych, zapoczątkowany po śmierci Stalina, przyspieszony w wyniku uchwał XX Zjazdu KPZR i VIII Plenum PZPR (1956). W literaturze odrzucono poetykę socrealizmu. Popularność zyskała zakazana dotąd tematyka wojenno-rozrachunkowa, historyczna, egzystencjalna. Pisarze podjęli poszukiwania nowych środków wyrazu. Błyskawicznie zapoznawano się z najnowszymi dziełami kultury Europy Zachodniej. W 1955 roku na łamach „Życia Literackiego” opublikowano, wraz z omówieniami krytycznymi, wiersze autorów, którzy stanęli na czele nowego pokolenia literackiego, nazwanego „pokoleniem 56” lub „grupą Współczesności” (od tytułu warszawskiego czasopisma, skupiającego młodych). Wśród tych autorów był właśnie Zbigniew Herbert.

W 1956 roku ukazuje się debiutancki tomik Herberta *Struna światła*. Jeden z najwybitniejszych polskich krytyków literackich, prof. Kazimierz Wyka, napisał wówczas o tej książce pochlebną recenzję, zauważając *zasoby nieprzeciętnej kultury wewnętrznej, rozumne szukanie własnej drogi poetyckiej, jakąś uderzającą rzetelność i dużą wiedzę o rzeczywistości, o jej kształcie aktualnym i myślowych korzeniach*.

Również w 1956 roku debiutuje Herbert jako dramaturg, ogłaszając w „Twórczości” sztukę *Jaskinia filozofów*. Rok później ukazuje się drugi zbiorek wierszy: *Hermes, pies i gwiazda*.

W 1958 roku publikuje Herbert w piśmie „Dialog” sztukę współczesną *Drugi pokój*, wyróżnioną w konkursie Polskiego Radia. Wyjeżdża w podróż po Francji i Włoszech. Poznaje lepiej dotychczasowe i odkrywa nowe źródła swych filozoficznych i artystycznych inspiracji.

Trzeci tom wierszy – *Studium przedmiotów* – ukazuje się w roku 1961. W tym czasie wiersze Herberta są już publikowa-

ne w zagranicznych antologiach i czasopi-smach. Bezpośrednim rezultatem odbytych podróży stał się zaś zbiór pięknych esejów *Barbarzyńca w ogrodzie*. Książka ta docze-kała się paru wydań w Polsce, była także we fragmentach lub w całości opublikowana w kilku językach obcych.

W 1964 roku pisarz otrzymał Nagro-dę Fundacji im. Kościelskich (Szwajcaria). Rok 1965 przyniósł mu austriacką nagrodę państwową im. Mikołaja Lenaua za *wybitne osiągnięcia w dziedzinie europejskiej twórczości literackiej*. Podczas uroczystości wręczenia nagrody Herbert powiedział mię-dzy innymi: *Cieszę się, że poetyckie słowo przekracza dzisiaj granice i prowadzi dia-log z mieszkańcami Ziemi. Poezja jest do tego powołana, jest środkiem porozumienia w świecie, ponieważ przekazuje ona rze-czywiste doświadczenia rodzaju ludzkiego*. W tym samym roku uhonorowano go również Nagrodą Fundacji im. A. Jurzykowskiego (Stany Zjednoczone). W RFN w przekładzie K. Dedeciusa, a rok później w Czechosłowa-cji w przekładzie V. Dvoračkovej ukazały się dwa pierwsze zagraniczne zbiory utworów Herberta. Z każdym rokiem książek prze-kładowych przybywało.

W latach 1965–1971 odbywa Herbert kolejne podróże zagraniczne odgrywające w jego intelektualno-kulturowej twórczości tak ważną rolę. Odwiedza Francję, RFN, Grecję, Północną Amerykę. Bierze udział w różnych imprezach poetyckich, daje wie-czory autorskie. Dłużej przebywa w Stanach Zjednoczonych, gdzie zaproponowano mu wykłady i odczyty na tamtejszych uczelniach.

Tymczasem ukazuje się w kraju czwarty tomik, *Napis*, nagrodzony na Łódzkim Fe-stiwalu Poezji.

Ukoronowaniem twórczości dramatur-gicznej Herberta jest wydany w 1970 roku zbiór *Dramaty* (zawiera on sztuki: *Rekon-strukcja poety, Jaskinia filozofów, Drugi po-kój, Lalek*). Utwory te były, po ich wcześniej-szych publikacjach prasowych, wielokrotnie wystawiane w teatrach, w telewizji, przed-stawiane na antenie radiowej.

W 1971 roku Herbert wraca do Polski. W tym samym roku ukazują się nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik” jego *Wiersze zebrane*, a wkrótce potem, w in-nych wydawnictwach, dwa mniejsze wybory twórczości (utwory poety zostają między in-

nymi włączone do serii Biblioteki XXX-lecia, prezentującej wybitne dokonania literatury powojennej).

Chociaż wszystkie książki autora *Bar-barzyńcy w ogrodzie* cieszyły się wielkim uznaniem, największy chyba jak dotąd sukces czytelniczy przyniósł mu tomik *Pan Co-gito*, wydany w roku 1974. Pozycja ta bywa zaliczana do najwybitniejszych osiągnięć polskiej literatury współczesnej, co w od-niesieniu do tomu poezji jest wydarzeniem rzadkim, świadczącym o szczególnej war-tości i popularności cyklu. Tytułowy bohater *Pan Cogito* identyfikowany jest od-tąd jako maska (bądź alter ego) samego Herberta.

W 1973 roku otrzymuje Herbert kolejną prestiżową europejską nagrodę im. G. von Herdera (RFN).

Drugą połowę lat siedemdziesiątych spędził pisarz głównie w Europie Zachodniej. W 1979 roku otrzymał w Weronie Nagro-dę im. F. Petrarci za twórczość poetycką, a w 1981 Nagrodę Literacką im. A. Struga.

Na początku 1981 roku powrócił do Pol-ski. Osobiście wziął udział w premierze spek-taklu pod znamiennym tytułem *Powrót Pana Cogito*, przygotowanego na podstawie jego utworów przez Stary Teatr w Krakowie. Zor-ganizowany przed premierą wieczór autorski stał się dużym wydarzeniem nie tylko kultural-nym. Powrót Herberta w okresie 16-miesięcz-nej posierpniowej wolności był nieprzypadko-wo i miał wymowę symbolu. Herbert należał bowiem do grupy tych intelektualistów, którzy nie godzili się z narastającym w latach 70. fałszem życia społeczno-politycznego i jego konsekwencjami. Twórczość Herberta oraz realizowana nie tylko w twórczości niezależ-na *wyprostowana postawa, wśród tych co na kolanach, pogarda dla szpiclów, katów, tchórzy* (określenia z wierszy) – stały się natchnieniem, oparciem dla pokolenia kon-testatorów i opozycjonistów, od marca 1968 po sierpień 1980. Chociaż niektórzy z nich (np. poeci Nowej Fali) nie do końca akcep-towali Herbertowską dykcję, opartą na aluzji i historycznym kostiumie, zarzucali poecie nadmierną powściągliwość w sięganiu po tematy współczesne, rosnąca popularność, ale i polityczne oddziaływanie poezji Herber-ta udowodniły, że jego droga była słuszna.

*Włęcz po co wraca* – pytał Herbert Pana Cogito wówczas w 1981 roku, wiosną. I od-powiadał (wiersz *Pan Cogito powrót*):

(...)

*może pan Cogito wraca  
żeby dać odpowiedź  
na podszepty strachu  
na szczęście niemożliwe  
na uderzenie znienacka  
na zabójcze pytanie*

Owo uderzenie znienacka przyszło wcześniej, niż się spodziewano... Po najtrudniejszym okresie stanu wojennego Herbert znów trafia za granicę. Przedtem powstaje zamysł tomu *Raport z obłąkanego Miasta* (Paryż 1983), którego wiersz tytułowy jest najwybitniejszą chyba (obok prozy T. Konwickiego) refleksją na temat polskiego dramatu 1981–1982, ale też wielką metaforą każdej politycznej przemocy, politycznej obłudy i potęgi zdrady.

Do najważniejszych prestiżowych wyróżnień, jakimi uhonorowano Herberta, zaliczyć trzeba nagrodę węgierskiej Fundacji Księcia Gabora Bethlena, przyznaną najbardziej niezależnym pisarzom i intelektualistom z krajów Europy Środkowej (1987). W 1989 otrzymał Herbert w Nowym Jorku Nagrodę im. Brunona Schulza w dowód uznania dla nieamerykańskiego pisarza, którego twórczość zasługuje na szersze poznanie w Stanach Zjednoczonych. Został też Herbert laureatem jedynej nagrody literackiej

przyznawanej w Izraelu – Nagrody Jerolimy (1990). W swej poezji – podkreśliło jury – daje on wyraz walce jednostki z systemem totalitarnym o wolność i osobowość (poprzednimi laureatami byli m.in. Bertrand Russell, Max Frisch, Graham Green, Octavio Paz, Jorge Luis Borges).

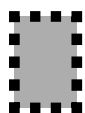
W 1990 roku w Paryżu ukazał się kolejny tom wierszy Herberta – *Elegia na odejście*, w 1992 zaś zbiorek *Rovigo* oraz tom esejów *Martwa natura z wędzidłem*.

W Polsce obszerne eseje poświęcili twórczości Herberta: Jerzy Kwiatkowski, Jan Błoński, Jan Pieszczachowicz, Stanisław Barańczak i inni wybitni krytycy. W 1982 roku ukazała się w Krakowie pierwsza książka-monografia twórczości Herberta, *Gry Pana Cogito* Andrzeja Kaliszewskiego (poszerzone wznowienie 1990), a w 1985 w Londynie druga – *Uciekinier z Utopii* Stanisława Barańczaka.

Najwierniejszym tłumaczem, popularyzatorem i znawcą pisarstwa Herberta za granicą był dyrektor Instytutu Polskiego w Darmstadt (RFN) Karl Dedecius. Duże znaczenie miało też opublikowanie obszernego wyboru wierszy Herberta w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii – z przedmową Czesława Miłosza.

Andrzej Kaliszewski

## LISTY DO REDAKCJI



*List od Pani Anny Pawlak z Torunia, która w ubiegłym roku przysłała nam artykuł o harcerce Kazi Jagńiewskiej – co zaznaczyliśmy na końcu artykułu. Pani Anna pisze:*

ZHP Drużyna im. „Ogni Kresowych” Lwów. Ze łzami czytałam „Lwów – miasto Polski – symbol bohaterstwa”. Kazimiera była moją drużynową. To Ona nauczyła nas kochać to Miasto! To dla Niej były te pierwsze fiołki na 4 III. Cześć Bohaterom!

*Teraz my, tu w Redakcji, jesteśmy wzruszeni Pani listem i wspomnieniem! Czekamy na dalsze listy.*

*List od Pana Antoniego Dwojaka z Mierzowic:*

Kochani, cały zespół redakcyjny wraz z członkami w stanie spoczynku i piszący autorzy, na progu Nowego 2014 Roku składam Wam najserdeczniejsze życzenia zdrowia i szczęścia w działalności zawodowej i życiu osobistym oraz spełnienia wszelkich Waszych marzeń. Szczególnie dziękuję Wam za „Cracovię-Leopolis” nr 4/2013, w którym wybrałem przepiękne teksty potrzebne mi do Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego. W tym roku będę po raz czwarty brał udział w konkursie.

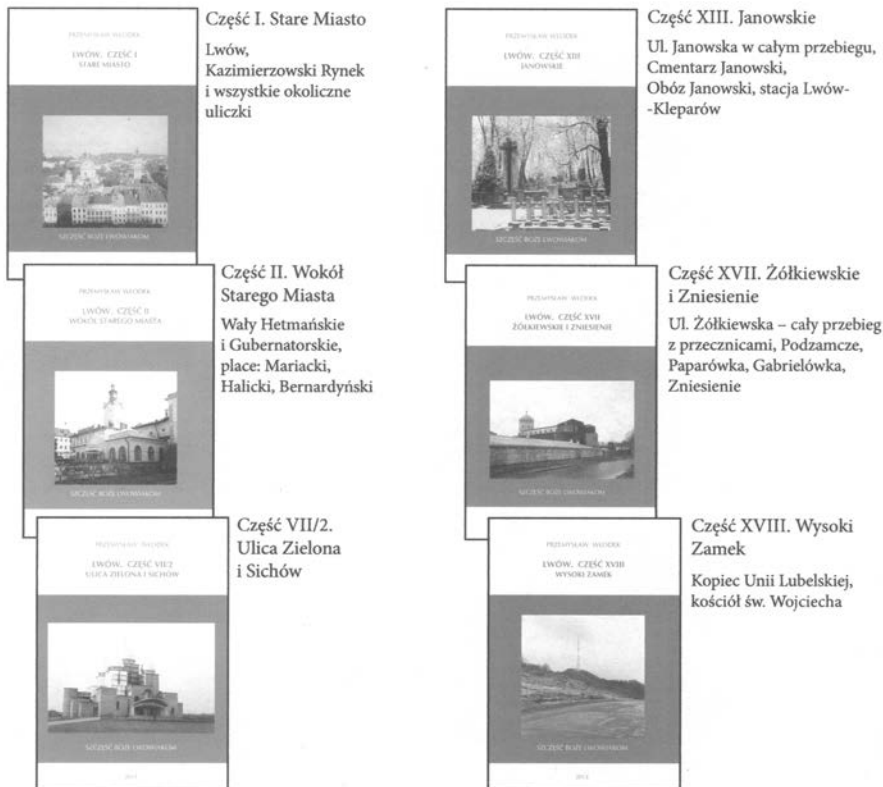
Z prozy wybrałem fragmenty pięknego artykułu Kazimierzy Jagńiewskiej „Lwów – miasto Polski – symbol bohaterstwa”. Do tego tekstu od siebie dodam:

*Niech każdy Polak i każde dziecko pamięta, Kim były i za co życie oddały Lwowskie Orłęta.*

Na około 300 Orłąt, które oddały życie za ukochany Lwów: 141 miało do 17 lat, 7 miało po 10 lat, a 1 miało 9 lat.

# Przemysław Włodek, LWÓW

W serii ukazały się następujące części:



▶ Z poezji wybrałem przepiękny, cudowny wiersz Czesławy Bereźnickiej *Miastu mych tęsknot i nadziei*. Po recytacji tego wiersza dodam:

*Ziemie zagarnięte, zagrabione,  
Prędzej czy później będą zwrócone.  
Przed wiekami, któż mógłby w to uwierzyć  
Że Wrocław i Legnica powrócą do Macierzy.  
Może to prorocze moje marzenie  
W najsmielszych ze snów,  
Że to samo czeka*

*Tarnopol, Stanisławów i Lwów.*

PS. Gdyby było to możliwe, to chciałbym nawiązać kontakt z Panią Bereźnicką, oczywiście za Jej zgodą. Gdybym mógł, to bym Panią Czesławę Bereźnicką za ten cudowny wiersz napisany tak pięknie, od serca wycałował nie tylko w ręce, ale i w stopy. Ten wiersz mnie urzekł i zachwycił. [...] Z wyrazami głębokiego szacunku, Antoni Dwojak.

*Kochany nasz Przyjacielu, dziękujemy!  
Niestety nie znamy obecnych losów Pani*

*Czesławy. Może Ona przeczyta ten list i się odezwie? Pozdrawiamy serdecznie.*

Pan dr med. Jarosław Kosiaty informuje nas, że w serwisie historycznym „Wotyń naszych przodków” – [www.nawolyniu.pl](http://www.nawolyniu.pl) – zainstalowana została baza książek o wydarzeniach na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej przed i w czasie II wojny światowej. Szczegółowa lista liczy ponad 300 pozycji. Jeżeli ktoś zna publikacje, których nie ma w tym zestawieniu – proszony jest o informację pod adresem:

lek. med. Jarosław Kosiaty, redaktor nacz. portalu medycznego Esculap.com  
Cogedim Group Poland  
ul. Wołoska 22, 02-675 Warszawa  
e-mail: [jkosiaty@eskulap.pl](mailto:jkosiaty@eskulap.pl)

Na l s. okładki:

## ARCYBISKUPI LWOWSCY ŁACIŃSCY I ORMIAŃSCY

**1. BERNARDYN WILCZEK** (przed 1450 k. Bochni – 1540 Lwów / katedra), syn burgrabiego w Gródku k. Lwowa, właśc. majątku Lubień Wielki. W 1472 podjął studia na Akademii Krak., ale po 3 latach przeszedł na służbę królewską. Święcenia kapł. prawdopodobnie uzyskał przed 1490. Był związany z kapitułami lwowską i przemyską. W 1505 uzyskał nominację na arcybiskupa Lwowa. Był człowiekiem skromnym i bogobojnym, od samego początku podejmował różne działania porządkujące, wprowadzając dobre obyczaje w Kościele. Wielkim dramatem Lwowa stał się pożar w 1527 r., który zniszczył gotyckie miasto, w tym katedrę. Niezbędna stała się odbudowa oraz zapewnienie ludności miejsc zamieszkania. W tym celu arcybiskup sprowadził budowniczych ze Śląska. W katedrze odbudowano dach, zakupiono nowe dzwony. Arcybiskup Wilczek pozostawił po sobie najlepsze wspomnienie. W 1532 zorganizował synod. Był najdłużej zarządzającym metropolią lwowską.

**2. JAN DYMITR SOLIKOWSKI** (1539 Sieradz – 1603 Lwów / katedra), syn protestantów. Podjął studia w Akademii Krakowskiej, ponadto w Wittenberdze, głównym ośrodku luteranizmu w Niemczech. Po studiach przeszedł do Kościoła katolickiego. Przez kilkanaście lat pracował w kancelarii królewskiej, działał jako dyplomata w krajach nadbałtyckich, potem w głównych stolicach europejskich. Świecenia przyjął w 1564 (choć możliwe, że o wiele później). Był przewidywany na pierwszego biskupa nowej diecezji inflanckiej, ale gdy zmarł dotychczasowy arcybiskup lwowski Sienieński, Solikowski został w 1583 r. jego następcą. W 1596 miał decydujący głos w zawarciu tzw. unii brzeskiej (w Brześciu Litewskim), wiążącej Cerkiew prawosławną w Rzeczypospolitej z Kościołem katolickim. Solikowski był gorliwym promotorem odnowy ordynarckiej, pomnażając liczbę parafii i tworząc nowe fundacje zakonne – w 1584 sprowadził do Lwowa jezuitów, oraz erygując nowe bractwa i tzw. banki pobożne. Zorganizował dwa synody archidiecezjalne. Archidiecezję lwowską podzielił na dekanaty.

**3. IZAAK MIKOŁAJ ISAKOWICZ** (1824 Łysiec – 1901 Lwów / cm. Łyczakowski). Arcybiskup lwowski obrządku ormiańskokatolickiego. Szkoły ukończył w Stanisławowie, od 1844 w seminarium duch. we Lwowie; wyświęcony w 1848. Wikary w Tyśmienicy i Stanisławowie, potem także proboszcz. Pisarz, działacz społeczny i religijny. W 1882 mianowany ordynariuszem ormiańskokatolickim we Lwowie. Utworzył parafię w Suczawie, poszerzył szeregi duchowieństwa obrządku ormiańskiego. Wybitny kaznodzieja, zw. Złotoustym.

Niniejszy numer CRACOVIA–LEOPOLIS został wydany przy pomocy finansowej  
**Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Miasta Krakowa.**

Redakcja składa serdeczne podziękowanie w imieniu Czytelników, Autorów i własnym.

### Czasopismo Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Redaguje zespół: Anna Madej, Krystyna Stafińska, Anna Stengl, Barbara Szumska, Danuta Trylska-Siekańska, Marta Walczewska, Janusz Paluch, Ireneusz Kasprzysiak, Andrzej Chlipalski (red. nacz.)

Strona internetowa CL: [www.cracovia-leopolis.pl](http://www.cracovia-leopolis.pl)

Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: [info@cracovia-leopolis.pl](mailto:info@cracovia-leopolis.pl)

Informacje o kwartalniku CL: Barbara Szumska, tel. (12) 633 45 23, kom. 695 334 523

Konto bankowe naszego Oddziału TMLiKPW w Krakowie:

53 1020 2892 0000 5002 0121 7918

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, e-mail: [fall@fall.pl](mailto:fall@fall.pl)

Druk: Know-How, 31-348 Kraków, ul. ul. Chełmońskiego 255, tel. (12) 622 85 60

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Copyright © Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

# Spis treści

Słowo od redakcji OSTATNI MOMENT	II	Paweł Pencakowski PROFESOR WANDA PENCAKOWSKA „Czwartak” LWOWSKA ŚWITEŻ	29
Rok Herberta Zbigniew Herbert PRZEŚLANIE PANA COGITO Andrzej Kaliszewski ZBIGNIEW HERBERT. ŻYCIE I TWÓRCZOŚĆ	1	Ludwik Kruszelnicki ZIELONA TRYBUNA 1 Poezja Anna Skoczylas LWÓW ♦ JESZCZE CHWILA ♦ SAM NA SAM	31 32
Paweł Pencakowski TYLKO WE LWOWIE (2)	2	2 Proza Jan Parandowski CORSO	35
Archiwum WE LWOWIE PRZED 120 LATY	6	6 Kultura ♦ Nauka Ks. prof. Józef Wołczański NOWY ROK NAUKI W BRZUCHOWICACH KRONIKA	36
Historia Tomasz J. Kotliński NADPROKURATORIA PAŃSTWA WE LWOWIE...	7	7 Z tamtej strony Dmytro Antoniuk OKOPY ŚW. TRÓJCY POWSTAJĄ Z RUIN LIST FEDERACJI ORGANIZACJI POLSKICH	40 42
Bernardyna Banaś WOKÓŁ BIOGRAFII J. GAMSKEJ- ŁEMPICKIEJ Krzysztof Bulzacki MAŁY ŚWIATEK	9	9 Sylwetki Ewa Vogt WSPOMNIENIE O LUDWIKU SOSABOWSKIM	43 44
Życzenia Wielkanocne	16	16 W Krakowie i dalej NASI BISKUPI NIE ZAPOMNĄ	45
Święty Jan Paweł II	17	17 Wschód i Zachód O POWRÓT RODAKÓW Z KAZACHSTANU POLSKA I LITWA	45 46
Rozmowy Janusz M. Paluch ROZMOWA Z ANDRZEJEM NIKODEMOWICZEM	18	18 Książki ♦ Czasopisma NOWE KSIĄŻKI WERTUJĄC WYDAWNICTWA Jest co czytać	46 47 51 56
Wspomnienia Marta Walczewska WOJCIECH KILAR Eugeniusz Zychowicz JAK PROFESOR PLAMITZER NIE ZOSTAŁ CZŁONKIEM PAN	26	27 Listy	56 59
Naszym zdaniem LWOWIANIN NA RAKOWICACH	28	28 Errata	59 56